

**Łuny  
na Wołyniu** str. 9

**Nocny dyżur  
na chirurgii** str. 3

**Numer 8  
szuka męża** s.r. 10, 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

# kamena

NR 7 (879)

5 kwietnia 1987

Cena 20 zł



Rys. Jan Surma

## KWIECIEŃ - MIESIĄC PAMIĘCI NARODOWEJ

Wit Jaworski

Franciszkowi Adamikowi  
malarzowi świata krematoriów

Powiedziałeś  
„śmierć w różnych odmianach”,  
malujesz ścięgnię ust  
przez otwarte usta wyskakują  
piekące serca od których rozpaliliście  
ognie, dymy opadają na łąki  
skubią kwiaty

Psy

Wypuszczone ze smyczy  
obwąchały krople waszej krwi,  
odzyskały młodość, podniosły głowy  
zdziwione, że pan skąpi mięsa  
prowadzonych na rzeź

„Wesz to śmierć”

znaleźliście w ciele  
nową nitkę losu  
odkąd  
wesz stała się igłą śmierci

Muzułmanie

Byliście muzulmanami  
poznaliście swąd spalonych ciał.  
Teraz nad wami czarna rosa świec  
w oddali gwizd lokomotywy.

Taniec śmierci

Niesione na tragach zwłoki  
w rytmie skocznych piosenek,  
było też tango truposzów  
w takt pejczy,  
został parkiet przysypany pyłkiem  
niezapominajek

Sonderkommando

Znaliście datę swojej śmierci.  
Gdy nad obozem przelatowała  
kracząca wrona  
przypominaliście sobie o życiu,  
słońce było wtedy  
strużką pospolitej krwi  
za uchem igielnym pieca zbieraliście popiół.

+

czasem ciało  
ćwierka jak dziecinna zabawka  
ogień polyka je na surowo  
wtedy w płomieniu śmierci  
oddycha noc

Pamięć

Ciepło krematoriów  
rozpedziło dmuchawce  
rozplenilo się  
żywe mięso blizn

## Ponad przeciętność

Wiesław Horabik

— Żeby pracować w kulturze, człowiek nie może być całkiem normalny. Musi mieć odchyły — powiedział mi Janusz Kister, kierownik Wiejskiego Domu Kultury w Koszarzewie i ja się zgodziłem, choć zapewne nie wynaleźliśmy w tym momencie prochu.

**K**OSARZEW, w gminie Krzczonów — to wieś usadowiona na stromawych wzgórkach, nad biegnącą łagodnym łukiem w kotlinie, drogą; wieś nowoczesnych — murowanych — i staromodnych — drewnianych — chałup. Generalnie ludzie tu zamożni. Trzysta ponad gospodarstw na dobrej tłustej ziemi. Z tej ziemi najlepszą potrafią zebrać 70 kwintalą pszenicy z hektara. Nie to jest jednak prawdą główną o Koszarzewie. Prawdą o tej wsi nie jest taka łatwa. Na jednym jej biegunie wznosi się w niebo kościół polskokatolicki, na drugim rzymskokatolicki, a pośrodku przemieszkują cicho świadko-

wie Jehowy. Czy to relikwiarz wielowyznaniowej Rzeczypospolitej? Czy to enklawa narodowej poplątanej świadomości? Proboszcz rzymskokatolicki jeździ volkswagenem, ksiądz parafii polskokatolickiej maluchem, a sekretarza POP o samochód nie spytałem. Nie jest to zresztą takie ważne. Gdy trzeba, wszyscy zabiegają tutaj o publiczne dobro. Koszarzew to nie „Gardzienice” ale Koszarzew to także kultura. Nie jest teraz modne pisanie dobrze o wiejskiej kulturze. Nie jest teraz w ogóle modne pisanie dobrze o czymkolwiek. Czy należy

Dokończenie na str. 10—11



Sylwetki lubelskie — Tytus Wilski: „Zawsze bardziej lubiłem ludzi rozśmieszać niż smucić” (str. 4—5).

Fot. Andrzej Polakowski

# z notatnika

21 III. W Domu Radzieckiej Nauki i Kultury w Warszawie przy ul. Foksal przedstawiono dorobek współpracy obwodu brzeskiego BSRR i województwa białkopodlaskiego (w telewizji usłyszałem: białkopodlaskiego, ale nie miałem już nie zdziwił, skoro kiedyś na planszy wygranych nagród rzeczowych w Toto-Lotku ujrzałem Hrubieszów przez Chł). Impreza ciekawa: zwłaszcza mogły się podobać występy artystyczne brzeskich przyjaciół.

23 III. Klub redakcyjny SD PRL zorganizował w Warszawie dyskusję na temat rzeczników prasowych. Warszawa potraktowała rzecz poważnie, czego dowodem była obecność na spotkaniu rzecznika rządu, Jerzego Urbana. Głosy padały różne, niektóre kontrowersyjne, jak zwykle przy tego rodzaju okazjach. Wszystko starannie stenografowano, więc będzie materiał do dalszych przemyśleń. Mnie się jednak wydaje, że i w tej dziedzinie przydałoby się atestacja stanowisk. Dzisiaj jest moda na rzeczników prasowych, ale przecież nie każda instytucja, nie każdy większy zakład pracy (nie mówiąc już o mniejszych) powinien sobie rzecznika fundować. Szefostwo ma może spokojniejszą głowę (głowy), ale w praktyce niektórzy rzecznicy okazują się niedorzecznikami, a ich rola sprowadza się często do splawiania dziennikarzy, na czym cierpi interes obu stron.

25 III. Dziennik „Prawda” zamieścił omówienie referatu o pracy Związku Dziennikarzy ZSRR i jego zadaniach w świetle uchwał XXVII Zjazdu KPZR. Referat ten na zjeździe dziennikarzy wygłosił przewodniczący zarządu związku Wiktor Afanasjew.

Oto kilka myśli zaczerpniętych z referatu:

▲ Nasza droga w przyszłość prowadzi przez demokrację, przez jawność, przez prawdę. Pomyślny marsz tą drogą w znacznej mierze uzależniony jest od tego, jak pracuje, jak działa nasza prasa, jak pracujemy my — dziennikarze.

▲ Pierwsze miejsce wśród naszych dziennikarskich zadań należy do bezkompromisowej walki o rozstrzygnięcie problemów społecznych, o człowieka, o stworzenie jak najlepszych warunków dla jego pracy, życia, bytowania, wypoczynku.

▲ Niekiedy zapominamy, że naszym głównym zadaniem nie jest ujawnianie i biczowanie wad, lecz zapobieganie ich powstawaniu, działalność profilaktyczna.

▲ Głównym niedociągnięciem jest brak systematyczności, działanie zrywami, kampanijność. Wystrzelono kilka salw wymierzonych w tę czy inną wadę, a potem cisza aż do kolejnej dyrektywy z góry.

▲ Najświętszym zadaniem radzieckiego dziennikarstwa jest ukazanie na łamach prasy, na ekranach i w audycjach radiowych całej konstruktywnej prawdy, obrazu życia i losów narodu w ich rzeczywistej dialektyce, złożo-

ności i przeciwieństwach, ze wszystkimi osiągnięciami i błędami.

▲ Przebudowa w prasie zakłada cały szereg posunięć organizacyjnych, doskonalenie struktury wydań, systemu zachęt. Naszemu czytelnikowi jest jednak obojętne, ile mamy w redakcji działów, kto stoi na ich czele, jaką płacę otrzymuje ten czy inny pracownik. Dla czytelnika jest ważny sam materiał, który dajemy, treść naszych publikacji. Dlatego też przebudowę powinniśmy dokonać przede wszystkim w sferze treści naszych materiałów.

▲ Wiele komitetów partyjnych nie zawsze wykorzystuje w pełni środki przekazu, stanowiące potężną dźwignię przebudowy. Tu i ówdzie komitety nadal krepują ich działalność. Właśnie tak — krepują, a nieraz wręcz dławią krytyczne ukierunkowania terenowej prasy. Bynajmniej nie przypadkowo KC partii zmuszony jest ingerować, aby przywrócić prawdę i sprawiedliwość, popierać prasę i uczelnych ludzi, którym dobro sprawy leży na sercu.

▲ Przebudowa w prasie jako całości idzie z trudem i powoli. Jedni dziennikarze okazali się nieprzygotowani, niekompetentni w stawianiu i rozwiązywaniu problemów przebudowy i przyspieszenia. Inni zagubili się, nie zdołali się pozbyć, nie potrafili wyrzucić stereotypów myślenia ukształtowanych w warunkach zastoju, fasadowości i krzykliwości. Dziennikarze okazali się też słabo poinformowani.

▲ Reakcja na krytykę prasową stała się bardziej operatywna. Krytyka objęła ludzi wyższych rangą. Wśród krytykowanych są teraz i komitety centralne partii komunistycznych w republikach, i ministrowie, i komitety krajowe i obwodowe. Niemniej stosunku do krytyki nie można uznać za normalny. Świadomie lub podświadomie ukształtował się dość obfity zestaw chwytów stosowanych w walce przeciwko krytyce prasowej. Z wielkimi np. trudem udało się dziennikarowi „Prawda” (przy pomocy sekretarza KC) „przepchać” materiały o Bajkale: o konieczności zrewidowania niezwykłych planów odwrócenia biegu rzek północnych na południe. Dochodzi też do tego, że podejmuje się próby zakwestionowania prawa organów prasowych KC do krytykowania komitetów obwodowych. Argumentacja jest następująca: korespondent gazety, który nie ma doświadczeń pracy w organizacjach partyjnych, nie może wydawać sądu o ich działalności. Powstaje pytanie: od kiedy to i dlaczego dziennikarz partyjnej gazety przestał być uważany za pracownika aparatu partyjnego?

▲ Częstokroć wystąpienia prasy są po prostu pomijane milczeniem, nie ma na nie żadnej reakcji. Ze szczególnie chorobliwą wrażliwością odnoszą się do krytyki organizacje twórcze, literaci, ludzie sztuki. Nie tylko nie odpowiadają oni na krytykę, lecz niekiedy organizują „antykrityczne” kampanie.

▲ Krytyka jest ostrą bronią i trzeba się nią posługiwać umiejętnie, mądrze i przeczornie. Krytyka jest tylko wtedy skuteczna, kiedy jest konkretna, trafna bez zastrzeżeń, twórcza.

▲ O negatywach piszemy z rozmachem, ostro i ciekawie. A tak samo dobrze pisać o pozytywach jeszcze się nie nauczyliśmy.

▲ Są w prasie nadal zdecydowanie słabi pracownicy. Wciąż więcej jest „przebiegłościaków”, którzy po prostu odprowadzają swoją wypłatę. Trzeba zdecydowanie uwolnić nasze szeregi od ludzi nie nadających się do pracy w prasie. Ważną rolę powinna odegrać atestacja.

▲ Trzeba zaprzestać niezliczonych „uzgodnień”, długotrwałego szlifowania materiałów, stosowania „autocenzury”, bo to zmniejsza operatywność publikacji, przeszkadza w wychodzeniu poza obręb zwyczajowych, wcześniej już podejmowanych tematów, powoduje szarżę i krepuje myśli.

Ileż tu problemów aktualnych i dla naszej polskiej, dla naszej, lubelskiej, prasy! Nie bez kozery więc pozwolę sobie na te obszernie cytaty.

26 III. Tu i ówdzie znajdują uszczypliwe uwagi pod adresem „Życia Literackiego” za to, że pismo drukuje ciąg dalszy scenariusza „Powrót do Edeonu”. Sprawdziłem, jak ów serial wpływa na popytność „Życia”. W Lublinie sprzedaje się już 600 egzemplarzy, trzykrotnie więcej niż przed rokiem. Mała rzecz, ale redakcję powinna cieszyć!

27 III. Szczepan Sadurski wyrzucił w dzisiejszym „Kurierze Lubelskim” poszczególnych członków zespołu redakcyjnego pisma. Okazją stało się trzydziestolecie „Kuriera”, o czym już w „Kamieniu” wspominaliśmy. Z żalem jednak stwierdzam, że karykatura nie jest najmocniejszą stroną twórczości Sadurskiego. Gdyby nie podpisy, rzadko kogo można byłoby rozpoznać. Już znacznie lepszy pod tym względem jest w Lublinie Józef Tarłowski...

Sadurski ma jednak znakomite pomysły i jemu właśnie w tym roku redakcja „Szpilek” przyznała „Złotą Szpilekę” w dziale rysunku humorystycznego. Rysunek ten ukazał się na pierwszej stronie 12 n-ru „Szpilek”. „Pani Haniu — mówi do sekretarki jej szef — proszę połączyć mnie z proletariuszami wszystkich krajów”.

Odnotowuję ten sukces Sadurskiego z prawdziwą przyjemnością, bo „Kamień” w przeciwieństwie do pisma, którego nazwy tu nie wymienię, już dawno doceniła działalność młodego lubelskiego rysownika. Sądzę, że jeszcze nieraz o nim usłyszymy.

28 III. O tym, że nastąpiły podwyżki cen, było wiadomo już od dawna, toteż dzisiejsze decyzje nikogo zaskoczyły nie powinny. Oczywiście nikt z nas nie lubi, gdy ceny rosną, bo cieszyć mogą tylko podwyżki plac. Kiedy jednak wraz z podwyżkami nie następuje zwiększona podaż towarów, nasz ciągle kruchy rynek konsumentów boleśnie daje znać o sobie: większe kolejki, a z drugiej strony (lady) — bardziej puste półki...

W naszej gospodarce jest wiele nonsensów. W takim np. 1934 roku tona węgla stanowiła równoważnik 8,4 kg kawy. Dziś nawet nie wiem jaka jest urzędowa cena kawy, bo jej nigdzie nie widać (podpowiadają mi, że kilo-

gram kosztuje 3900 zł. Jeśli tona węgla zdrożała do 5000 zł, to za ową sumę można nabyć (można?) tej kawy zaledwie 1,315 kg. Oczywiście nasuwa się pytanie: czy kawa jest droga czy tani jest węgiel? Niezależnie jednak od subiektywnych odczuć w tym względzie przykład ten świadczy o tym, że z reformą cen nadal jesteśmy ciągle w lesie.

Przewodniczący Rady Państwa, gen. Wojciech Jaruzelski, na posiedzeniu Komisji do spraw Reformy Gospodarczej zapowiedział kilka posunięć oszczędnościowych: zmniejszenie liczby samochodów i kierowców służbowych w urzędach i instytucjach państwowych, radykalne ograniczenie liczby samochodów zachodnich marek pozostających w użytkowaniu organów państwowych, zmniejszenie liczby telefonów w instytucjach, usprawnienie funkcjonowania placówek użyteczności publicznej, eliminowanie wydatków na służbowe wyjazdy zagraniczne.

Zobaczmy, jakie w tym względzie kroki zostaną podjęte w Lublinie. Osobiście byłby też ciekaw, jak np. wygląda w tej chwili obsada stanowisk w Urzędzie Wojewódzkim? Chodzi mi o liczbę pracowników UW. Interesujące byłoby porównanie, jak było w 1976 r., przed reformą administracyjną, kiedy to woj. lubelskie sięgało od Białej Podlaskiej do Tomaszowa, a jak jest dzisiaj, gdy na miejsce jednego powstały cztery województwa. Wiem, wiem, że zniknęły powiaty, więc w sumie może to się jakoś i bilansuje, ale wiem też, że reforma administracji miała na celu zmniejszenie kadry urzędniczej.

Bulwersuje mnie również sprawa wyjazdów tzw. osób towarzyszących poszczególnym zespołom sportowym i artystycznym, które występują w innych, nawet dalekich, krajach. Kto pokrywa koszty pobytu, kto decyduje o wyjeździe konkretnego funkcjonariusza, jaki jest efekt jego pracy? Dziennikarz przynajmniej napisze o imprezie, funkcjonariusz może co najwyżej udzielić wywiadu...

Dla mnie jest to klasyczny przykład (o czym mówił właśnie General) turystyki za społeczne pieniądze!

Napisałem to i nagle zapłatała mi się taśma w maszynie do pisania. Jakoś się z tym uporałem, ale czarnych pałuchów nie mogę domyć: po prostu nie ma wody. Historia powtarza się niemal codziennie, nie tylko w tym bloku, w którym mieszkam. Co by było, gdyby wybuchł pożar? Panie Prezesie, LSM, inż. Janie Gąbka, zapytajcie Pana publicznie, czy Pan, mój sąsiad, nie ma tego typu kłopotów? A jeśli i Pan je ma, dlaczego Pan nie interweniuje?

M. A. Jaworski

## UWAGA MIŁOŚNICY KRZYŻÓWEK!

Przepraszamy miłośników krzyżówek w „Kamieniu” (a jest takich sporo, o czym świadczą nadsyłane rozwiązania), że w tym numerze naszego pisma nie ma krzyżówki. Dlaczego? Po prostu nie zmieściła się. Za to w następnym, świątecznym numerze — duża krzyżówka z nagrodami w wysokości 5 tysięcy złotych!

## Z żalobnej karty

Andrzej Burda

10 marca br. zmarł w Warszawie, w wieku 74 lat, Andrzej Burda — wybitny specjalista w dziedzinie prawa państwowego porównawczego, profesor zwyczajny Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, gdzie pracował od 1950 roku, pełniąc m. in. funkcję rektora tej uczelni (1955—1957). Autor wielu cennych publikacji naukowych, był jednocześnie działaczem społecznym i politycznym, od lat młodzieńczych związanym z radykalną lewicą. Piastował urząd Prokuratora Generalnego PRL (1957—1961), ostatnio był członkiem Trybunału Stanu i Komisji KC PZPR do wyjaśnienia okoliczności, faktów i przyczyn konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej. Wierny ideałom socjalizmu, posiadał umiejętność i odwagę samodzielnego oceny wydarzeń, metod i faktyki życia politycznego, co nie-

rzadko sytuowało go na pozycji polemicznej wobec obowiązujących właśnie paradygmatów. Jako konieczną i możliwą do spełnienia uważał koncepcję polskiej drogi do socjalizmu. Linie proste, dramatyczne zakrety i meandry tej drogi sugestywnie przedstawił we wspomnieniowej książce „Przymrozki i odwilże”, obejmującej wydarzenia historyczne i osobiste doświadczenia autora z lat 1945—1957, a opublikowanej niedawno przez Wydawnictwo Lubelskie. Zamierzał napisać tom drugi tych wspomnień, ale ciężka choroba przekreśliła ów zamiar. W liście do dyrektora wydawnictwa, datowanym 21 października minionego roku, wyjaśniał: „Okazuje się, że ile ocenilem stan mojego zdrowia, chociaż szczerze myślałem o możliwościach napisania drugiego tomu. Stan mojego zdrowia od sierpnia gwałtownie się pogorszył i ujawniły się skutki napromieniowania kobaltem i operacji (...). Piszę tak obszernie, by po-

informować, że drugiego tomu napisać nie mogę, jak w ogóle więcej niezego (...). Jeżeli jeszcze zobaczę tom pierwszy dzięki Panu w tym roku, przynajmniej go oglądnę. Pracowało mi się z Panem dobrze, dużo zrobił Pan pożytecznego dla Wydawnictwa (...).”

Od dawna niedomagając, nawet okresowo nie zamykał się w smutnym odosobnieniu człowieka zatruzonego o los własny. W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych wyjątkowo żywo zajmował się publicystyką, udzielał wywiadów, wstąpił do oddziału lubelskiego Stowarzyszenia Autorów Polskich. Jego poglądy polityczne i historyczno-filozoficzne, przedstawione w „Kamieniu” (1981/1) pod wymownym tytułem „Nie ma socjalizmu bez demokracji”, poruszyły opinię publiczną Lublina. Egzemplarz pisma z tym wywiadem prof. Andrzeja Burdy rozwiessano w fabrykach, szkołach, urzędach...

Odszedł od nas Człowiek nieprzeciętny — mądry i odważny.

Mieczysław  
Ciesielski

16 marca br. zmarł w Lublinie Mieczysław Ciesielski — dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury. Zmarł nagle, licząc zaledwie 54 lata, z których większość poświęcił pracy w różnych instytucjach kulturalnych miasta. Pierwsze doświadczenia zawodowe zyskiwał w Wydziale Kultury Prezydium MRN, następnie był kolejno: dyrektorem Młodzieżowego Domu Kultury, instruktorem Wydziału Propagandy KW PZPR, dyrektorem Teatru Lalki i Aktora, wicedyrektorem Państwowej Filharmonii im. H. Wieniawskiego. Sumienny i rzetelny w wypełnianiu obowiązków, wymagał tego od współpracowników, co nie zawsze spotykało się ze zrozumieniem. Jako dyrektor WDK, formułował dalekosiężny program działania, o celach przekraczających utwardzone w tej sferze stereotypy. Świadczy o tym m. in. wywiad, ostatek w Jego życiu, jaki udzielił „Kamieniu” („Folklor to nie wszystko” w nr 4/1987).

**S**ZPITAL, bardziej chyba niż inne instytucje, funkcjonuje na zasadzie przeciwności: jest miejscem zdrowienia i śmierci, cierpienia i ulgi, rezygnacji i nadziei, leczenia i bytowania; jest światem lekarzy i chorych, lekarzy i pielęgniarek, pielęgniarek i salowych; ma swoje dnie i noce obliczone. Ktoś powiedział kiedyś, że dopiero w szpitalu widać prawdziwe życie. Czy zatem prawdziwe życie jest chore?

Pytanie wcale nie retoryczne. Wszak w obliczu zagrożenia widać dopiero świat prawdziwy i prosty. Widać, jaki jest niezmienny w swych zasadniczych prawach i jak czasami brak w nim miejsca na uniki, kompromisy i fałszywe gesty. Przygotowując się do tematu, zdążyłem usłyszeć o młodym chłopaku, który brakiem godności w cierpieniu złamał pewien niepisany kod onkologicznej moralności. Zdążyłem poznać historię innego, któremu amputację nogi (nie odczuwał specjalnego bólu) odłożono na tydzień po studiówkowym balu. Kiedy zabrzmiał jego pożegnalny walc?

O polskiej służbie zdrowia lat osiemdziesiątych pisał się cniwie: koniaki dla lekarzy i głodowe pensje pielęgniarek, wulgarnie salowe i szczyry w magazynach leków, łóżka na korytarzach i zniczulica. To także prawda, tyle że nie cała. To prawda o sensorycznym drwonu, prawdzie wyborczej, świadome nagłośnienie. A codzienność?

Dzień przedwiosenny, odwilży. Nocny dyżur chirurgiczny w PSK 4, który to szpital był przed czterdziestym laty na wsarós nowoczesnym. Dnia zmieniły się czasy, mimo iż klinika bardzo się rozrosła. Dlaczego chirurg? Tak bowiem jak ona aspiruje do przewodzenia medycynie, tak i nocny dyżur tej specjalności, oprócz sobie tylko właściwych, „normalnych” przypadków, odbija przy okazji jakość naszego życia społecznego. Oto wachlarz pokancerowanych andrusów — pijaństwo; napady kolki nerkowej — stopień czystości naszych wód; schorzenia przewodu pokarmowego — higiena i racjonalność odżywiania; nawet aktualna mapa pogody — złamanie i pollution. To skojarzenia najprostsze, ile w nich jednak oczywistej prawdy!

Na dyżurze pozostaje jeden chirurg i trzy pielęgniarki. A potem lekarz ma normalny dzień pracy do piątku. Średnio dyżuruje sześć razy w miesiącu. W okresie urlopowym bywa, że i dwanaście. Chirurg wspiera po sąsiedzku internistę, terakochirurg, neurolog i zespół ortopedyczny. Czuwa także anestezjolog.

Izba przyjęć zagubiona przy wewnętrznym dziedzińcu szpitala... Na wprost recepcja i informacja. Obok na ścianie tablica ogłoszeń. Ręcznie malowane plakaty antynikotynowe „95 proc. chorych na raka płuc to palacze”. I jeszcze: „Szpital nie odpowiada za biżuterię i pieniądze nie zdeponowane w sejfie”. Na krzesłach kilku chorych. Ktoś pojeżdża, ktoś inny spaceruje w zdenerwowaniu po niewielkim hallu. Każdy, kto tu przybywa, staje się zaraz obiektem zaciekawienia. Chodzi o rozmowę, o kontakt, o zagłuszenie lęku, wreszcie o świadomość, że ktoś inny także jest cierpiący. To na chwilę pomaga. Lęk tutaj jest odmienny niż na oddziale, niż przed operacją zaplanowaną od dawna. Kryje się w nim cała masa niewiadomych. Pacjent nie zna jeszcze swojej przyszłej drogi; nie wie, czy będzie operowany zaraz, czy może później, a może w ogóle odeślą go po badaniu do domu. Czasami droga z karetki czy synowskiego samochodu do ogłoszenia werdyktu, burzącego niejednokrotnie całe dotychczasowe życie, bywa zaskakująco krótka. W owej niecierpliwości miesiąc się także strach przed cierpieniem. Dlatego czekający tu w kolejce ludzie szybko nawiązują kontakt.

Doktor Tadeusz Żarnowski skończył właśnie zabieg nacinania cielika. Sala, używana do szycia ran i drobnych interwencji, pachnie eterem. Ostro, dla wiącaj eter dominuje przez długi czas nawet nad tym zapachem ogólnoszpitalnym, który od razu napelnit mnie niepokojem, kiedy tylko tu wszedłem. Jest on zapewne syntezą „pachnienia” wielu rzeczy, ale zawsze rozpoznajemy go bezbłądnie na ulicy, w autobusie, nawet w kinie: będę go później nioś! aż do samego domu, w wilgotnym powietrzu nocy. Dopadnie mnie nawet na krótko następnego dnia.

Za gabinetem zabiegowym — sala operacyjna. W razie większej liczby nagłych przypadków można korzystać także z sal na górnych piętrach. Rezerwowe zespoły operacyjne są w pogotowiu. Szpital obowiązuje rejonizacja, PSK 4 przyjmuje jednak przypadki i spoza Lublina. Obejmuje w istocie swą opieką cały makroregion. Przyjeżdża tu na przykład aż z Białej Podlaskiej chory po amputacji nogi. „Ten pan mówi, że złamała mu się proteza” — wykrzykuje barczysty brodac, który go tu przyprowadził. Istotnie. Nieszczęście w nieszczęściu. Musi pozostać tu do rana, aż o ósmej rozpoczną pracę warsztaty ortopedyczne. Przy protezie ukruszyły się jakieś płytki. Partac-two?

Kiedy siedzę w pokoju lekarzy, odkrywam, że szpital noca to także świat kroków. W okresowej ciszy, wolnej od pojeżdżania cierpiących i piąckich krzyków, słychać tu wszędzie kroki. Na suficie, na korytarzu, za oknem. To oczywiście, że w miejscu przebywania wielu ludzi można słyszeć ich stapania; ale szpitalne kroki mają swoją specjalną jakość. Dudnienie lekańskich drewnianych chodaków może oznaczać koniec niepewności; drobny stukot pielęgniarskich sandałów — szybka ulga w cierpieniu; chrząst nierównych, wymieszanych szurów na przyrządach brudnego śniegu — kolejnego pacjenta i koniec krótkiej drzemki. A potem na te kroki nakładają się periodycznie szepoty i krzyki. Przyciszone głosy lekarzy konsultujących przypadek i nagły krzyk bólu pacjenta poddanego zabiegowi. Tylko porę kolacji jakby i chory szacował podświadomie. Kiedy doktor Żarnowski wyszedł na posiłek, w izbie nie pojawił się żaden nowy pacjent.

Rozmawiam z pierwszym chirurgiem, który o tej porze zastępuje dyrektora szpitala. Adiunkt Dacka mówi o swojej specjalności. Cytuje podręcznikowe motto doktora Moore'a, że chirurgia to

odpowiedzialność. Rozmawiam o dwóch światłach; chorym świecie szpitalnym i tym zdrowym na zewnątrz. Znowu powraca to pozornie retoryczne pytanie z początku reportażu. Z naszej rozmowy, w zaskakujący sposób, wylania się prawda o solidarności chorych; zwłaszcza w poszczególnych salach, gdzie najpełniej widać zawiązaną wspólnotę. Słabsi znajdują pomoc u silniejszych; gdy trwa operacja kolegi z sąsiedniego łóżka, Inni kręcą się pod salą, niecierpliwia się, zaczepiają lekarzy i pielęgniarki. Odkrywa się życie w swoich najprostszyc odruchach. To działa optymistycznie. W tym świecie choroby rodzi się na powrót życiowość zapomniana na co dzień. W tych salach zanikają na krótko różnice w wykształceniu i w materialnej zasobności. Koegzystencja różnych środowisk nareszcie okazuje się pełna. A potem, w niedzielne popołudnia, niejednokrotnie na próżno wyczekują rekonwalescenci na odwiedzin swoich bliskich. Wtedy życie powraca do właściwego, „zdrowego” wymiaru.

W chwilę po dwudziestej znowu rozpoczyna się ruch, który z małymi przerwami trwa będzie do rana. Tym razem młody pijany chłopak. Dziś takich pacjentów jest może więcej niż zwykle. Dzieśiasty — dzień wypłaty. Najgorsze są jednak piątki przed wolną sobotą, soboty i dni popularnych imienin. Od co bardziej krewkich pacjentów można nawet zarobić po głbie. Ortopeda, doktor Twa-

głośnie. Pomijany jest wszakże fakt, że najczęściej ztraca się współczucie w obliczu życia, które jak kolejny odprysk społecznej patologii wciska się wynaturzone tam, gdzie powinny funkcjonować fachowość, cisza i naturalna życzliwość. Zapraszam specjalistów od etyki na nocny dyżur chirurgiczny.

Za chwilę przywożą ofiarę wypadku. Wpadł pod samochód. Ten też nie jest trzeciwy. Ma ranę na czole i głębokie rozcięcie na nodze. Wszelkie zabiegi przyjmuje z melancholijnym wyrazem twarzy. Przypadki trafiające tu każdego dnia nie tylko odkrywają, jak bogate w zdarzenia jest życie, ujawniają także różnorodność ludzkich postaw. Za drzwiami szelest samochodowych opon. Przed wejściem zatrzymuje się tym razem milicyjny polonez. Przyjechali zbadać sprawę tego potrąconego pieszego. Wszystkim pacjentom udzielono już doraźnej pomocy.

Doktor Tadeusz Żarnowski to stosunkowo młody lekarz. W tym kalejdoskopie zdarzeń ze swoim dyżurze radzi sobie świetnie: jest zdecydowany, a zarazem życzliwy. Około dwudziestej pierwszej znajdujemy wreszcie czas by chwilę porozmawiać. Nawet bez słownej deklaracji wiem, że doktor Żarnowski lubi swój zawód.

— Która z następujących cech: siła, delikatność, precyzja, odwaga, doświadczenie jest najważniejsza w pańskim fachu? — pytam:

# Nocny dyżur na chirurgii

Henryk Więclawski

róg, opowiada mi o własnych doświadczeniach w tym względzie. Chłopak ma pociętą, czerwoną od krwi rękę. Zdenerwowany się i uderzył pięścią w szyję — relacjonuje swój przypadek. „Jak zawalacie milicję, to będzie źle” — odgraża się głośno. Na szczęście rany są powierzchowne i nie trzeba ich szyc. Wystarczy opatrunek. Za chwilę w korytarzu pojawia się mężczyzna o makabrycznie poparzonej twarzy. Przywoźła go żona, wiejska babina w kolorowej chuście i tanim półkożuszku. „Poszłam do pracy — mówi do mnie. — Przycho-dzę, a ten leży na łóżku jak bez życia”. Odwiedzny, kobiety fraszunek. Okazuje się, że wieśniak to domorostry pirotechnik. Wsparzenie saletrą okazuje się groźne. Zachodzą obawy o uszkodzenie oka. Potrzebna konsultacja specjalisty. Za chwilę zabierze go karetka.

Znowu krótka chwila przerwy. Można obejrzeć końcówkę kolejnego odcinka „Piątek ciemnych krzewów”. Richard Chamberlain w sutannie pochyła się nad Meggie. Do pokoju zagląda pielęgniarka. „Doktorze, niech pan przyjdzie na chwilę”.

Kolejny pacjent ma pokiereszowaną twarz. „Gdzie go znaleźliście?” — pyta lekarz dwóch mężczyzn stojących obok. „Na ulicy — odpowiadają. — Leżał na ulicy”. Sam poszkodowany jest mało rozmowny. „Czy to izba wytrzeźwień?” — dopytuje co chwila. Jest brudny. Trudno ustalić jego miejsce zamieszkania, gdyż sam różni o nim mówi. Głośno krzyczy przy oczyszczaniu ran. Wszystkich tych podchmielonych pacjentów trzeba przetrzymywać do rana. Trzeba im robić prześwietlenie najczęściej uszkodzonej głowy. Trzeba ich obserwować przez dłuższy czas, aby wykluczyć możliwość poważnego urazu. Z chwilą znalezienia się w szpitalu objął ich wszakże parasol ochronny bezpłatnego leczenia. Szpital nie ma pomieszczeń dla takich osobników. W szpitalach brakuje łóżek dla naprawde chorych. Wlóczą się więc potem po korytarzach, przeszkadzając lekarzom i pielęgniarkom. Taka jest smutna codzienność chirurgicznej izby przyjęć. Fakt, że zawsze dzieje się tu coś niezwykłego, nie może zagłuszyć potęgającego się zmęczenia, politywania użeraniem się z pijakami. (Choć niektórzy z nich to postaci naprawde barwne). Szpital nie jest jednak właściwym dla nich miejscem. Można jakaś specjalistyczna placówka sanitarna przy izbie wytrzeźwień, wyposażona w niezbędne zaplecze diagnostyczne? Ba!

Jak długo jeszcze w polskich szpitalach nad autentycznym cierpieniem unosić się będą opary alkoholu? Jak długo izby przyjęć wypełniać będą krzyki i awantury pijackie? Jak długo lekarze i pielęgniarki tracąc energię i zdrowie na utarczki z amatorami mocnych wrażeń? Jak długo kosztowne aparaty diagnostyczne pracować będą za nasze pieniądze na drobnych żulików? Wszędostępną opieką lekarską niesie w sobie i negatywy.

W tym zwulgarnieniu codzienności łatwiej o zatrącenie współczucia, pochylenia się z troską nad każdym pacjentem, rutynizację podejścia. Pracujący tu ludzie uodparniają się nie tylko na widoki jak z filmu-horror, mogą uodpornić się także na prawdziwe nieszczęście. Narzekania na dehumanizację lekarskiego zawodu rozlegają się coraz

— Najlepiej posiadać je wszystkie. Co do siły, chodź; raczej o odporność psychiczną. Chirurgowi potrzebna jest także pokora.

— Dlaczego wybrał pan właśnie tę specjalizację?

— Ponieważ chirurg powinien umieć najwięcej, a efekty leczenia są niemal natychmiast widoczne. Ten zawód to rodzaj walki: Jak w walce istnieją w nim elementy: zaskoczenia i niewiadomej. Każdy przypadek jest inny. Czasami dopiero po rozpoczęciu zabiegu odkrywają się nowe współczynniki. Operacja to rodzaj napięcia; przy tego rodzaju napięciu ja jednak odpoczywam. Lubię, kiedy coś się dzieje.

PSK 4 tak, jak i inne szpitale kliniczne, nie narzeka w zasadzie na niedobór chirurgów. Kłopot może być tylko w wyborze tych najlepszych z najlepszych. Mówił o tym adiunkt Dacka. Znacznie gorzej bywa w szpitalach ZOZ-owskich, w terenie. Tam niedobory są znaczne. W PSK 4, tak jak w całym polskim szpitalnictwie, brakuje za to pielęgniarek. To problem oddzielny. „rozpracowywany” ostatnio na wszystkie możliwe dziennikarskie sposoby. Zostawiam go. Uwielbialibyśmy się w place i warunki pracy i tysiące pochodnych; w całe utrapienie wciąż jeszcze nekające spore obszary naszego społecznego życia. W PSK 4 — jak i w całym szpitalnictwie — brakuje także leków, a nade wszystko materiałów opatrunkowych. Chirurgiczna izba przyjęć ma jednak wszystko, co jej potrzebne. Całą dobę dysponuje centralnym laboratorium i gabinetem rentgenowskim, zdolnym do wykonywania wysoce specjalistycznych badań.

— Prawdę mówiąc, wszystkie te niedobory nie stanowią o istocie sprawy — mówi mi doktor Żarnowski. — Wciąż mam świadomość, że w całej sprawie liczy się tylko człowiek.

I znowu musimy kończyć rozmowę. Napływają kolejni pacjenci.

W chirurgicznej izbie przyjęć przeżyłem kawalek lubelskiej „urazowej” nocy. Zwidziałem skrawek życia oprawionego w niezwykłość. Zobaczyłem odmianę pracy trudnej i często niewdzięcznej. O polskiej służbie zdrowia można różnie: koniaki dla lekarzy i głodowe pensje pielęgniarek, wulgarnie salowe i szczyry w magazynach leków, łóżka na korytarzach i zniczulica. To także prawda, chociaż nie cała. A codzienność?

W trudnych warunkach życia wciąż otrzymujemy należną nam pomoc i spotykamy swoją nadzieję. W borykaniu się z uciążliwym niedostatkami pochyłają się nad nami niezmiennie ludzie w białych fartuchach. Nie brak w tym pochyleniu troski. Chociaż w zakamarkach pamięci nagłe spostrzeżenie: może to wszystko dzieje się tym uciążliwie, im żyć jest trudniej?

Jest to jakby trawestacja porównania owych dwóch światów: świata ludzi chorych i tego zdrowego, toczącego się wokół nas na co dzień.

# Lepiej bawić niż smucić

## ROZMOWA Z TYTUSEM WILSKIM

— W końcu marca obchodziłeś pięćdziesiątolecie pracy artystycznej. W jaki sposób ubierało się tyle lat, skoro ty jesteś wciąż taki młody...?

— Bo ja „wczesnie zacząłem”. A stało się to, gdy liczyłem lat siedemnaście, w sezonie teatralnym 1937—1938, w moim rodzinnym Poznaniu, na scenie teatru lalkowego „Błękitny Pajac”. Dyrektorem „Błękitnemu Pajacowi” Stefan Polony-Poloński, kierownikiem literackim był Jan Sztaudynger. Nazwa teatru wzięła się stąd, że stałym bohaterem wszystkich granych tam sztuk była postać zwana Błękitnym Pajacem. Graliśmy głównie pacynkami, małymi lalkami nakładanymi na trzy palce dłoni aktora-animatora; teatr mieścił się w poznańskim Pasażu Apollo. Już w następnym sezonie trafiłem do teatru „żywego planu”. Był to poznański Teatr Peryferyjny, prowadzony przez dyrektora Rosińskiego. Tam właśnie debiutowałem w komediach i farsach. A na Scenie Letniej owego teatru zadebiutowałem wkrótce potem także w operetce. Była nią „Nitouche”, a mnie powierzono jedną z głównych ról, amanta, Ferdynanda de Champlatreux. Po tej roli posypały się propozycje z innych teatrów; oczywiście wybrałem najatrakcyjniejszą. I wtedy... wybuchła wojna, do Poznania wkroczyli Niemcy!

— Ale pozostaliśmy jeszcze na chwilę w czasach pokoju. Mówisz, że debiutowałeś w 1937 roku. A ja słyszałem, że już jako pięcioletnie zlotowosze pachole wzbudzałeś szal na widowni! Wiek jak to właściwie było naprawdę?

— Ach, to były czasy teatru amatorskiego... Istotnie, kiedy miałem pięć lat, „zadebiutowałem” na scenie teatru TUR — Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych — działającego przy Polskiej Partii Socjalistycznej. Sztuka nosiła tytuł „Śmierć Emilii Plater”; występowałem tam jako chłopiec, który rozmawia z naszą bohaterką narodową tuż przed jej śmiercią i na życzenie umierającej „kobiety-pułkownika” gra rzewny utwór na skrzypcach...

— Już wtedy umiałeś grać na skrzypcach?

— Umiałem. I właśnie ta umiejętność była głównym powodem, dla którego „obsadzono” mnie w tej roli. Na premierze mój występ tak się podobał publiczności, że zostałem nagrodzony brawami. A ja wówczas, jako „znający się na rzeczy”, obiecujący „wirtuoz”, podszedłem na sam front sceny i



Tytus Wilski w roku 1927. Liczba „25” wyhaftowana na poduszce nie ma, oczywiście, żadnego związku z jego obchodami jubileuszowymi; upamiętnia „srebrne gody” wujostwa.

Repr. Andrzej Polakowski

złożyłem widowni poważny, głęboki ukłon. Wywołało to ogólną radość oraz prawdziwą burzę oklasków. W ten sposób „zalałwitem” końcówkę przedstawienia na amen, bo główna bohaterka mu-

siała odegrać wzruszającą scenę śmierci... tyłem do widowni, jako że dusiła się ze śmiechu. A z nią cała reszta zespołu! Nie było to zresztą jedyne w mojej karierze „rozłożenie” przedstawienia „Udało” mi się to również, w trzydziści lat później, w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie, gdy grałem pierwszoplanową rolę niedobrego Cygana — porwacza małej dziewczynki w sztuce „Czerwone pantofelki”. Ponieważ znałem kilka tricków iluzjonistycznych, dorobiłem do tej sztuki swoisty prolog: była to zabawa z dziecięcą widownią, w czasie której prezentowałem różne sztuczki. Otóż właśnie dzięki owemu prologowi widownia tak mnie polubiła, że gdy potem w trakcie przedstawienia doszło do momentu, gdy trzeba nieść Cygana ukarać, dzieci stanowczo zaprotestowały, wdzierając się aż na scenę. Długo musiałem im tłumaczyć, już nie jako Cygan, ale kryjący się pod jego postacią Tytus Wilski, że przecież każde zło musi być przykładnie ukarane.

— A skąd w ogóle wzięło się twoje zainteresowanie teatrem? Nie wolałeś zostać skrzypkiem-wirtuozem?

— Widzisz, uczono mnie wprowadzić gry na skrzypkach, ale tak naprawdę, to moja mama marzyła, żebym został księdzem. Nie z racji zasady, że „kto ma księdza w rodzinie, tego bieda nie ubodzie”, ale duchownym żyjącym w przykrym ubóstwie, czyniącym dobro i miłosierdzie. Nie muszę cię chyba przekonywać, że ta rola absolutnie mi nie odpowiadała. Tymczasem mama mówiła: „Ucz się synku, bo jak się uczył nie będziesz, to nie księdzem, ale złodziejem, albo, co nie dać Bóg, jakimś artystą zostaniesz”. Mamusi nie posłuchałem i potem przez całe życie musiałem się w pocie czoła uczyć ról scenicznych. Nie bez wpływu na moją drogę życiową pozostała walka moich dwóch wujków o „rząd dusz”: jeden wuj był endkiem, drugi socjalistą, a obydwaj postanowili wyprowadzić mnie „na ludzi”. Wujek-socjalista proponował bardziej atrakcyjny program: kochał on muzykę, teatr, poezję i ja się tym od niego zaraziłem. W konsekwencji on zwyciężył w rodzinnej rozgrywce, a ja trafiłem do teatru. Wprowadziłem początkowo nie na długo.

— Bo, jak wspominałeś, Niemcy wkroczyli do Poznania?

— Już 4 grudnia 1939 r. zostałem aresztowany i jednym z pierwszych transportów wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec. Pracowałem w cukrowni w Prenzau na Pomorzu. Najpierw jako tragarz worków z cukrem do wagonów kolejowych. Potem — jakby na samym dniu piekła — wynosiłem spod rusztu wielkiego paleniska kotłów cukrowniczych rozżarzony popiół i żużel. Ale los szykował mi jeszcze cięższą dolę. Otóż przypomniało sobie o mnie poznańskie gestapo. Jako syn powstańca wielkopolskiego oraz członek pepesowskiego TUR-u, powinienem być, według hitlerowców, trafić do obozu innej obozu niż ten, w którym przebywałem...

— I co?

— Uratowałem się w ostatniej chwili dzięki robotnikom czeskim, którzy ze mną pracowali. Podслушали oni rozmowę w naszej dyrekcji, że mam być aresztowany. Niewiele myśląc, przysną-

**K**ONIEC lutego, wolna sobota. Ulice szare, smutne, prawie puste. Resztki błotnistego śniegu chlupią pod nogami. Mgła wieczorna oklebia miasto. W restauracji w okolicach Teatru Osterwy można zjeść coś, co nazywa się może jeleniem z drobiu, albo tak jakoś podobnie. Parę minut po siódmej z teatru wysypują się stłoczone grupki czarnych i brązowych habitów, maszerują zwartym zastępem ulicą Narutowicza. „Bieglem polskie” Rydla przyciąga tę niecodzienną publiczność. Teatr, który porywa się na jasełka, zarabia na powszechne wzięcie już poprzez sam taki pomysł, jakże skądinąd łatwy. W kawiarence teatralnej uśmiecha się z barku zadbana bardzo znajoma buzia, zamglone oczy znajomych aktorów i pierwsze chyba włosenne bazi. Drgnęło — myślę.

Tuż przed dwudziestą zachodzę do teatru, nie mam żadnej wejściówki. Biletka krzyczy, że bez zaproszenia absolutnie nie da rady. Ludzi na razie niewiele, może dwadzieścia osób. Okazują jakieś legitymacje upoważniające podobno do wolnego wstępu w teatrach w Polsce i nawet za granicą. Ale w Lublinie, okazuje się, nie. Pani biletka także tam rzeczy ma za nic. Za chwilę robi mi się różniej, bo pokuje również na dziennikarza z lubelskiego radia za brak pieczątki i podpisu dyrektora na zaproszeniu (choć blankiet z tego teatru). Życie wygrywa z teatrem, jak chce. Jesteśmy w samym królestwie absurdu. Teatr. Choć sytuacja bardziej jednak z Mroźka niż z Iredyńskiego. Studencki dowcip o woźnej, która infor-

muje: „ja i pan dziekan ustaliliśmy, że egzamin został odwołany”, przestał być śmieszny.

Wreszcie forsujemy schody na małą scenę. Publiczność sytuuje się po dwóch stronach dzielącego widownię podestu. Młode twarze. Czy wierzą, że zmagania Iredyńskiego ze światem i sobą samym, jego pytania — o sens śmierci, częściej niż życia — były istotne?

W debiutanckim tomiku poezji (1959 rok) pisał:

Kiedy mamy rozróżnić granicę między dobrem a złem patrzymy w lusterko cudzych śmierci.

Właściwie wokół sensu tych słów nabudował kilka późniejszych dramatów; choćby te z ostatnich lat życia — „Kreacja”, „Seans”, „Głosy umarłych”. Wierzył chyba, że oglądanie zjawisk i rzeczy tego świata z perspektywy ludzkiej śmierci daje dopiero możliwość właściwego rozpoznawania dobra i zła, ciemności i światła.

W jednym z wywiadów powiedział kiedyś, że pisze wciąż tę samą sztukę o przynocy, a metodą pisarską pozostaje stała „analiza zjawiska przez syntezę”. Dra-

maturgia maski uniwersalnej — jak mawiano. Pozostawał nieustannie zanurzony w oglądaniu poszczególnych ludzkich losów, ale potrafił nadawać im wymiar i sens uniwersalny poprzez ubieranie problemów w maski mitu, albo historyczne. Jego dramaty, pokazujące problemy przemocy, mechanizmy politycznego terroru, jak „Terroryści”, „Oltarz wzniesiony sobie”, „Głosy umarłych”, czy dużo wcześniejszy „Zegnaj Judasz”, stanowią próby dochodzenia do prawdy o człowieku w świecie uwikłanym w zło i nieprawość; były sztukami politycznymi, ale o tym decydował również teatr.

Dużą szansę na sztukę polityczną da-

Iredyński stworzył dramat gorzkich konieczności, lęków i zagrożeń. Bogdan Czajkowski na małej scenie Teatru im. Osterwy zrobił przedstawienie nawet sensowne, czyste dosyć w pomysłach i realizacji aktorskiej, tyle tylko, że poniżej miary dramatu. Przysłał się jedynie do maski historycznej tekstu (...). Stworzył spektakl o czasie faszystów, jego sile niszczącej jednostkę, rozspajającej ludzką więź. „Alleluja” Haendla rozbrzmiewa kilkakrotnie,

głośno, natarczywie, nie pozwalając wychylać się w stronę poszukiwania szerszej interpretacji. Finał przedstawienia również uwieczniony został wysokim tonem Haendla, kosztem obcięcia tekstu Iredyńskiego. A jest w tym pominiętym końcowym fragmencie, ustawione w kontekstach ironicznych takie zdanie: „My, którzyśmy pozostali na tym padole, musimy mieć teraz nadzieję i modlić się, by zrodził się nam nowy świat”. Iredyński nie bardzo już chyba wierzył, kiedy powstawał ten dramat, w jakiegokolwiek nowego świata, a przynajmniej nie pedbudowywał nadszłej wiary naiwnej i niezmiennej w możliwości latania, choćby o jednym

# Pejzaż z Iredyńskim

łem w kierunku Berlina, bo w tłoku zgubić się najłatwiej. I wtedy wydarzyła się kolejna przygoda z Czechami. W Eberswalde natknąłem się przypadkowo na wielką grupę innych Czechów, przywiezionych tutaj transportem kolejowym do pracy w zakładach „Herman Goering Werke”. Byli w niemalym kłopotcie, bo w Dreźnie uciekli z transportu jeden z ich kolegów i obawiali się, że Niemcy nie puszczą tego płazem. Wobec tego postanowiliśmy im pomóc: z dnia na dzień zostaliśmy Czechem. Nazywałem się odtąd jak ów uciekinier, Jaroslav Rocek, urodzony w Brnie. Po czesku mówić umiałem, bo poduczyłem się tego języka podczas pracy w cukrowni w Crenzlau.

— Miałeś ów przysłowiowy łut szczęścia.

— A nawet kilka łutów. Bo również moje dwie następne wpadki i następne dwie ucieczki skończyły się szczęśliwie, i dzięki temu możemy sobie dzisiaj rozmawiać.

— Nigdy nie myślałeś o napisaniu wspomnień?

— Czasem zastanawiam się, że gdybym istotnie, zabrał się do spisywania tego wszystkiego, co w tamtych latach przeżyłem, wydałoby się to czytelnikowi niewiarygodne. Są chwile, że samemu nie chce mi się wierzyć, że tak właśnie było.

— A przecież zaraz po wojnie zacząłeś się parzyć piśmiennym.

— Ale nie dla wspomnienia. Tylko po to, żeby podzielić się z czytelnikami swoimi aktualnymi wrażeniami i spostrzeżeniami. Pisałem też, aby utrwalić w pamięci piękne krajobrazy, które danym mi było oglądać, sylwetki poznanych w wędrówkach po świecie, ludzi odnotować ważne wydarzenia polityczne i własne ówczesne refleksje na temat obserwowanych zjawisk. Dzisiaj, kiedy przeglądam moje „Listy z podróży” drukowane zaraz po wojnie w poznańskim „Głosie Wielkopolskim”, gdzie przysyłałem je z Jerozolimy, Kairu, Norymbergi, z Portugalii i Finlandii, i z innych jeszcze miast i krajów, otóż myślę, że dziś jeszcze te zapiski są świeże i żywe.

— Można ci pozazdrościć tytuł i takich podróży i wrażeń!

— Wynikały one ze specyfiki tuż powojennego życia wielu Polaków, którzy znaleźli się wówczas na zachodzie Europy, oderwani od stron rodzinnych. Ja na przykład współpracowałem, jako osoba cywilna, z „Kulturą i Prasą” 2 Korpusu Polskiego w Porto San Giorgio we Włoszech. Przedtem, bezpośrednio po wyzwoleniu oflagu „VII a” w Murnau, zorganizowałem zespół estradowy, w którym występowałem również we Włoszech. Później zaś współorganizowałem pierwsze transporty repatriacyjne polskich oficerów z obozów jeńческих. Właśnie jednym z takich transportów wróciłem do kraju.

— I do teatru?

— Wyobraź sobie, że jeszcze nie. W 1947 r. pasjonowała mnie inna przygoda: zorganizowałem sieć korespondentów i kolporterów prasy na Ziemiach Zachodnich. Jednak coraz mocniej odczuwałem tęsknotę za sceną. Aż w końcu zaangażowa-

łem się do teatralnego zespołu w Szczecinie. Nie tylko zresztą grałem tam w teatrze, byłem również spikerem i komentatorem w szczecińskiej rozgłośni radiowej.

— Zawsze ciągnęło ku „lejszym” formom scenicznym?

— Zawsze bardziej lubiłem ludzi rozśmieszać niż smucić. To wypływa z mojej natury, z mojego spojrzenia na świat, z mojego stosunku do otoczenia. Ja lubię bezpośredni kontakt z publicznością, bez rozdzielającej nas rampy. Stąd moja działalność estradowa. Nie ma w Polsce miejscowości posiadającej salkę choćby na dwieście miejsc, abym tam w ciągu minionych czterdziestu lat nie występował! Kabaret uważam za najwyższą nobilitację w świecie estrady. I nie tylko dlatego, że Pietrzak awansował, właśnie dzięki kabaretowi, niemal do miana współczesnego naszego wieszca narodowego.

— Właśnie. Przecież to od kabaretu zaczęła się nasza znajomość. To było w 1961 r., kiedy pojawił się nagie w Lublinie i „reanimował” kabaret „Czart” w kawiarni „Czarcia Łapa” (gdzie zresztą rezyduje on po dziś dzień). Wyreżyserowałeś wówczas czwarty program „Czarta” — „Dwa dni świeciło słońce”. Pamiętam dobrze, bo sam w tym programie występowałem jako piosenkarz kabaretowy debiutując w „Dwa dni świeciło słońce” — Piotr Szczepanik.

— Tytuł programu wziął się z życia: wróciłem z deszczowego urlopu nad morzem, gdzie zaledwie przez dwa dni świeciło mi słońce... Tylko zapomniałem, że ja już przedtem przez cały sezon pracowałem w Lublinie, sprowadzony z Warszawy z Teatru „Miniatury” Domu Wojska Polskiego przez Barbarę Kostrzewską na gościnne występy w Operetce Lubelskiej. I równocześnie przez cały ów sezon prowadziłem w kawiarni „Czarcia Łapa” imprezę „Lubelskie podwielczorki przy mikrofonie”. Pierwsza recenzja — pióra Wierzy Kornelek z tych wieczorków, opublikowana na łamach „Sztandaru Ludu”, nosiła znamienity tytuł: „I chociaż Czarta żal”... Ulegając presji tak zwanej opinii publicznej, wznowiłem „Czarta”. I „Czart” żyje do dziś. Każdy przygotowywany przeze mnie program w tym kabarecie, a było ich wiele, był nie tylko wynikiem mojej pasji kabaretowej, ale także wyrazem mojego osobistego stosunku do podejmowanych na owej scenie tematów i spraw nurtujących społeczeństwo, nie tylko lubelskie.

— No, ale przede wszystkim pracowałeś zawodowo na scenach lubelskich, upamiętniając się wieloma kreacjami aktorskimi. Ze wymienię choćby Boniego w „Księżniczce czaradza” księcia Gigli w „Zemście nieopera” w Lubelskim Teatrze Muzycznym, a na scenie Teatru im. Osterwy m. in. rolę Pana Młodego w „Weselu” Wyspiańskiego.

— Przez całe dorosłe życie byłem przede wszystkim aktorem. (Choć trudniłem się także reżyserią, a nawet robiłem scenografie). Z biegiem lat coraz wyraźniej uświadamiałem sobie, że wszelka działalność artystyczna jest nie tylko przyjemnością, ale także obowiązkiem. Ze niezależnie od tego, jaką formę teatru się uprawia, scena ma wychowywać społeczeństwo pod względem estetycznym i również etycznym...

— Oho, zaczynamy rozmawiać o rzeczach nader istotnych i bardzo poważnych...

— Tak. Ale ja dobrze pamiętam, że teatr to nie same tylko „koturny”. To — życie. W tym życiu teatru zdarzają się sprawy wielkie, ale także na scenie, takie sytuacje, o jakich się ani filozofom, ani dramaturgom nie śniło! Pamiętam na przykład, że grając przedstawienie „Krzysztofie nie szalej” w Radzynie, zgodnie z intencją autora zapalałem w zdenerwowaniu papierosa. A liści w tym momencie wkroczył na scenę dyżurny strażak i uprzejmie zwrócił mi uwagę, że w teatrze PALIC NIE WOLNO! Cóż było robić: przeprosiłem go i papierosa zgasiłem! Ze strażakami bywają, nawiasem mówiąc, w teatrze różne perypetie. W szczecińskim przedstawieniu „Jadzi wdowy” w 1949 r., w którym grałem pana domu, zdarzył się taki oto przypadek. W jednej ze scen Feliks woła: „Pali się!!!” Na to ja, pan domu, powiniennem wpaść i zapytać: „Gdzie?” Wówczas pada odpowiedź Feliksa: „W dwóch sercach!” Otóż po tej ostatniej kwestii, pełniący dyżur za kulisami strażak wyszedł na scenę, popatrzył na aktora z politowaniem i skomentował do widowni: „IDIOTA!!!” Publiczność oszalała z radości. To nie koniec: w finale przedstawienia, podczas kłaniania się zespołu, widownia zaczęła skandować: „Strażak, strażak...” Inspicjent wypchnął więc bohatera wydarzenia na scenę. Przywitano go frenetycznymi oklaskami! Później na łamach miejscowej prasy recenzenci jednogłośnie uznali, że najlepszy w przedstawieniu „Jadzi wdowy” był strażak Malinowski.

— A jednak po latach aktorstwa szedłeś za scenę. Wróciłeś do pisania, do publicystyki. Skąd ta decyzja?

— No cóż, przyczyniło się do tego moje serce. Po prostu zaczęło odmawiać posłuszeństwa. Do teatru trzeba „mieć serce”; ale na scenie musi być ono zdrowe! I w tym kalamburze masz prawie wyczerpującą odpowiedź. Aby uniknąć gnuszenia, które „koroduje” człowieka, odkurzyłem pióro.

— O czym najchętniej piszesz?

— O ludziach mogących stanowić pewne wzorce osobowe. Chciałbym się w ten sposób przeciwstawić otaczającemu nas wszechprymitywizmowi, wandalizmowi, irracjonalności motywów negatywnego działania człowieka przeciw drugiemu człowiekowi. A więc: sprzeczeniu zwrotnemu przeciw samemu sobie. A dzieje się tak i w domu, na co dzień, i w wielkiej polityce. Usiłuję się przeciwstawić łamaniu praw obywatelskich — począwszy od praw dziecka, ludzi słabych i starych. Dlatego chętnie przyjąłem funkcję ławnika ludowego, i to w sądzie do spraw nieletnich i rodziny. Sądzę bowiem, że nie wystarczy deklarować się werbalnie, trzeba robić coś konkretnego.

Rozmawiał: Mirosław Derecki

skrzydła nadziei. To chyba dosyć istotne (...).

Nad przedstawieniem „Głosów umarłych” można by spokojnie przejść do porządku, gdyby nie istotna dosyć w tym spektaklu rola. Piotr Wysocki jako Oswald Bross, doktor filozofii, faszysta, nie tyle może z przekonania, czy strachu, co raczej z potrzeby „zaistnienia”, przebieca się ku czemuś. Wysocki w tej roli to człowiek cyniczny i bardzo inteligentny, który potrafi przewidywać, ustawiać się, grać, „który sumiennie wykonywał swoje powinności wobec partii i państwa, gdybyśmy wygrali wojnę, to byłbym...”. Ta rola mówi daleko więcej, niż zamierzono w całym przedstawieniu, daje postać, która posiada dar szczególony — podbudowany inteligencją, wiedzą, tym bardziej groźny — dar tworzenia sytuacji przymusu, manipulowania ludźmi, przydatny bardzo w rozmaitych systemach totalitarnych. Szkoda, że w takim szerszym wymiarze nie zaistniała tytułowa rola Klieswettera grana przez Henryka Sobiecharta. Włec Wysocki najbardziej broni i ocala znaczenia tekstu Iredyńskiego. Może warto jednak stawić czasami na aktorów, bardziej niż na reżysera — myślę, wychodząc na puste, mokre ulice.

Na plakatach przed teatrem rozmyta, wilgocią twarz Iredyńskiego. Jeden z ostatnich już zawodowych sztukopisarzy współczesnych — jak mawiano, nie bez racji, za życia pisarza. Szkoda chyba, żeby teatr rozmiękał na drobne jego niezłe teatralne pomysły. Tymczasem jakiś pijaczyna opiera się o słup reklamowy, dziera plakat „Głosów umarłych”. Twarz Iredyńskiego w mokrych strzępach. Mgła nad miastem tętnieje.

Lidia Wójcik

(Tekst skrócony przez redakcję).

# Złoty pociąg do historii najnowszej

Mirosław Derecki

**D**RAMATYCZNE losy złota polskiego podczas drugiej wojny światowej, historia nadająca się na film lub wieloodeinkowy telewizyjny serial, były mało znane ogólni Polaków. W czasach wojny trzymano rzecz całą — ze zrozumiiałych względów — w tajemnicy, później w Polsce jakby niechętnie wyciążano szczegóły tej całej sprawy na światło dzienne. Może dlatego, że droga polskiego złota przez ogarnięte wojennym ogniem tereny wschodnich i południowo-wschodnich województw II Rzeczypospolitej, a następnie przez Rumunię do Konstancy nad Morzem Czarnym (skąd okrażnym szlakiem przez Bejrut i Morze Śródziemne miało potem trafić do Francji) pokrywała się w znacznej mierze z drogą ówczesnego polskiego rządu na obczyźnie i jego losami po przekroczeniu granicy polsko-rumuńskiej. O czym — przez wiele lat — nasi historycy wypowiadali się także raczej skąpo.

Po raz pierwszy szerzej napisał o tej sprawie były dyrektor Banku Polskiego, Zygmunt Karpiński (który kierował transportem złota z Warszawy do Rumunii) w „Najnowszych Dziejach Polski” (L.I, 1957). Następnie wrócił on

do tego tematu w roku 1971, we wspomnieniach wydanych w książce pt. „O Wielkopolsce, złocie i dalekich podróżach”. Historia transportu polskiego złota trafia jednak do świadomości masowej dopiero teraz, gdy na ekranach pojawił się film „Złoty pociąg” w reżyserii Bohdana Poręby, nakręcony w oparciu o scenariusz rumuńskiego pisarza i dziennikarza Ioana Grigorescu. Jest to, uściśliśmy, koprodukcja polsko-rumuńska i film nosi równorzędny tytuł: „Trenul de aur”.

Zanim zajmiemy się oceną tego, jak ów „złoty pociąg” wypadł na ekranie, przypomnijmy w wielkim skrócie podstawowe fakty dotyczące wywozu polskiego złota za granicę.

Transport złota Banku Polskiego — pisze prof. Maria Turlejska w książce „Prawdy i fikcje. Wrzesień 1939 — grudzień 1941” (Warszawa 1968) — wartości około 345 mln zł, wagi 80 ton [...], powierzony został przez Adama Koca (mianowanego w przeddzień wojny wiceministrem skarbu) — dwóm pułkownikom, a zarazem byłym ministrom — Ignacemu Matuszewskiemu i Henrykowi Floyar-Rajchmanowi. Cenny transport w nocy 13 września opuścił granicę kraju, a 15

września przeladowany został na statek-cysternę „Eocene” w Konstancy. 16 września statek stanął w Bostorze, gdzie niemożliwe okazało się dalsze przeladowanie ładunku na okręty wojenne, konieczne więc było dalsze transportowanie drogą lądową do Bejrutu. (Dodajmy, że złoto polskie wyruszyło z Warszawy już w pierwszych dniach września, a 6 września wioząca część ładunku kolumna samochodowa dotarła do Lublina). Tyle — jeśli chodzi o podstawowe fakty.

Przystępując do realizacji „Złotego pociągu”, Poręba oraz Grigorescu postawili głównie na widowiskowość i sensacyjność. „Chodziło mi o film popularny w formie — powiedział reżyser w jednym z wywiadów — przeznaczony [...] dla widzów w każdym wieku, którzy lubią kino przygodowe z dreszczykiem. Jednakże ukazując jeden z etapów przymusowej wędrowki polskiego złota po świecie, równocześnie starałem się w zasadniczych zarysach pozostać wierny faktom historycznym [...]. Tym razem zdecydowałem się na konwencję westernu: prozę bardzo, wystarczająco zamienić w powieść na konie [...]. W „Złotym pociągu” elementy fikcji wcale nie są w sprzeczności z rzeczywistością historyczną”.

Dokończenie na str. 8

„Kamena” od lat stwarza możliwości debiutu. Kolumny młodoliterackie redagowane są na jej łamach od roku 1960. Przed nami byli poeci, prozaicy i krytycy literaccy, którzy współtworzyli ŹRÓDŁA, ZIEMIĘ I PIEŚŃ, ZAPOLE, MŁODY LUBLIN, PROFILE I W STRONĘ MŁODYCH.

W obecnym, piątym już numerze STRON chcemy przypomnieć, że czujemy się kontynuatorami tej tradycji. Oczekujemy propozycji ze strony młodych krytyków teatralnych i literackich, tłumaczy literatur słowiańskich, poetów i prozaików. Chcemy przy okazji powtórzyć za krakowskim M. A. Styksem, że i nam chodzi o dążenie — podkreślamy — nie do „więcej”, lecz do „lepiej”. Cennimy sobie uwagi profesjonalistów. Będziemy je przytaczać.

Co do poezji? Nie mamy nic do powiedzenia ponad to, co zauważył Michał Głowiński: „Położenie młodego poety, nawet jeśli po wielu latach oczekiwania uda mu się wydać zbiór wierszy, jest wyjątkowo trudne, może nawet — beznadziejne”.

Sądzymy jednak, że tworzenie własnego, odrębnego świata poezji jest próbą wyważania drzwi rzeczywistości. To również jakaś manifestacja wolności. P. Valery w „Poezji i myśli abstrakcyjnej” pisał, sugerując, że poezja to ogień: „Proszę cię o ogień. Dajesz mi ogień, a więc mnie zrozumiałeś”.

Redaktorzy „Stron”



## Mirosław Siudyka

Dopiero dzisiaj zrozumiałem  
co to znaczy pisać po piasku  
palcem  
kształt ryby nie wyszedł mi  
słowo stało się nieczytelne

przyszły rok  
da mi nową szansę

po między człowiekiem a samotnością  
jest zaufanie  
trzeba sobie wierzyć  
że będziemy zawsze razem

drugi człowiek  
jest tylko czasami

Uwaga:  
przejścia nie ma

skąd i dokąd

trzeba być zawsze  
po prostu

krytyk ma do mnie pretensje  
że tworzę kalekie strofy

ale one są mną

kaleka rodzi kalekę

## Adam Kalbarczyk

# NOCNY KURS

w nocnym mieście pojawia się mnóstwo zabłąkanych autobusów  
zwłaszcza w sobotę

kiedy dookoła jest o wiele więcej muzyki  
i o wiele mniej kurzu

co daje się jeszcze racjonalnie wytłumaczyć  
w odróżnieniu od wspomnianych przez mnie wcześniej autobusów  
które posiadają własne światła  
własnych kierowców a nawet  
pasażerów

wsiadłem kiedyś do jednego z tych pojazdów

(zabłąkani zawsze czują się różnie w towarzystwie zabłąkanych)  
i odkryłem w nim niezmiernie bogactwo losów  
których nagle skrzyżowanie z moim istnieniem  
jest dla mnie do dziś zagadką

bo można tam spotkać ludzi takich  
których wykreśliło się już ze swej pamięci  
aby potem nie udawać że się o nich wszystko wie  
i takich których spotkać to tak  
jak znaleźć na ulicy meteoryt

i zamienić z nim parę słów o pogodzie

niewykluczone że ich w ogóle nie można spotkać  
odkrycie to było dla mnie tak wstrząsające  
że na najbliższym przystanku wysiadłem  
i poszedłem do domu piechotą  
spokojny już w chwilę później prawie zupełnie

# Wokół Orwella

## Marek Danielkiewicz

„WIEKSZOŚĆ rzeczy w życiu — na przykład samochody, kochanki, choroba nowotworowa — jest ważne tylko dla tych, którzy je mają. W przeciwnym razie tego pieniędzy jest równie ważny dla tych, którzy go mają, jak dla tych, którzy go nie posiadają. Jedni i drudzy są zainteresowani w tym, żeby pojąć jego tajniki. Jedni i drudzy powinni mieć przekonanie, że to potrafią” — pisał John Kenneth Galbraith.

Niestety — bohater orwellowskiej „Wiat aspidistra” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1985), niespełna trzydziestoletni Gordon, przekonania tego nie miał. Dlatego na początku swego dojrzałego życia przeżył naiwny, surrealistyczny bunt. Nie potrafił, bo nie chciał, znaleźć sobie miejsca w społeczeństwie rządzone przez pieniądze. Gordon, jak przystało na poetę, pogniwał się na cały (angielski) świat i rozpoczął beznadziejną wojnę.

Naturalnie bardzo pragnął żyć dostatnio, marzył o „forsie” i być może właśnie dlatego zaryzykował walkę z losem. Zaprotekował przeciw temu co niezniszczalne, trwałe i potężne. Pieniądz bowiem jest symbolem naszych czasów. Jest „solą cywilizacji ludzkiej. Pieniądz to wymysł genialny. Został stworzony przez człowieka. Nie obchodzi go prawa natury. Obojętny jest wobec wojen i wszelkich kataklizmów. „Forsa” kieruje jedynie prawa wymyślone przez ludzki mózg. Pieniądz jest pułapką, dającą wolności i niewoli, szczęścia i nieszczęścia.

Gordon-„dysydent”, przedstawiciel kontestującej grupy nadwrażliwców, budzić może u czytelnika politowanie,

lecz jednocześnie sympatię i szacunek, gdyż zachowuje się jak wolny człowiek. Rzecz jasna, jest to rodzaj wolności, której towarzyszy szczypta głupoty. Gordon swoim postępowaniem udowodnił — mimo że ten eksperyment zdał się psu na budę — iż bunt w imię tego, co „niemożliwe”, jest do zrealizowania.

Bohater Orwella, wcześniej niż „studentzi z 1968 roku, z Paryża”, powiedział: „Żądam niemożliwego!”. Okazuje się, że G. Orwell miał niezłą intuicję i przewidział wiele sytuacji, które wcześniej czy później wpisały się do historii.

Ostatnio w naszym kraju mówi się z namaszczeniem o pisarstwie George’a Orwella. Zaczyna się autora „Wiat aspidistra” drukować: między innymi Wydawnictwo Literackie w Krakowie i „Literatura na świecie” (nr 3/86). W tygodnikach kulturalnych można przeczytać „naukowe” rozważania. „Czy wydrukować „Rok 1934”, czy też nie? Książka ta może komukolwiek zaszkodzić? Kogo tak naprawdę dotyczy? Nas czy Zachodu?” itd. Tego rodzaju pytania i wątpliwości, stawiane w kraju w którym wielu przeczytało już i zna prawie całą twórczość Orwella, wydają się zabawne. No, ale „teatr” ma swoje zwyczaje...

Myślę, że książka „Rok 1984” dotyczy przede wszystkim tych, którzy „poczuwają się do winy”. Orwellowska satyra na totalitaryzm nadal tnie boleśnie i czyni głębokie rany. Są przecież i tacy, którzy jej nie znoszą, bo obawiają się, że zagraża ich dobrobytowi.

„Rok 1984” jest dziełem uniwersalnym. Trudno sobie jednak wyobrazić, by jakiegokolwiek społeczeństwo, nawet pozbawione dostępu do informacji, a „oświecone” lekturą Orwella, zlapało

się pewnego dnia za głowę i na drodze wprost cudownej, bezkrwawej rewolucji zmieniło władzę totalitarną na mniej totalitarną lub — jak kto woli — na demokratyczną. W zapisie pseudoprogramu działania umieszczono by wtedy dogmat, iż są w jednym państwie dwa państwa. Metafizyczne państwo nominalne i zbudowane z krwi, kości i potu państwo realne. I właśnie z tym pierwszym „zrobiono by porządek”. Taka marzycielska i naiwna konstrukcja wydaje się być bardzo dowcipna i podniecająca młodych, silnych i zwartych studentów, którzy nie tylko są politykami-amatorami, ale potrafią też skoczyć w ogień. W kraju, gdzie łatwiej o bohatera niż parę solidnych butów — pisał Marian Pankowski w „Rudolfie” — wszystko może się wydarzyć.

Ale powróćmy do wydrukowanej w Krakowie „Wiat aspidistra”. Dwie sprawy w tej powieści zainteresowały mnie najbardziej. Pierwsza dotyczy osoby „arystokratycznego socjalisty” Revelstona. (Nie dziwny się, przecież Kropotkin też był arystokratą). Revelston był redaktorem „Antychrysta” i przyjaacielem błędnych poetów, nieudaczników i proletariatu. Mimo że miał dochody powyżej 500 funtów rocznie, szczerze wierzył, że socjalizm to jego wzytówka.

W powieści jest pewna scena, która wydaje się warta zacytowania:

„W knajpie można obcować z klasą robotniczą jak równy z równym. Przynajmniej taka jest teoria (...). Samobójstwo, socjalizm, Kościół Katolicki to mają być alternatywy, to mają być pokusy dla inteligencji (...). Powiedziałbym, że pod skrzydłami matki Kościoła jest dość przytulnie. Oczywiście, nieco niezdrowo, ale czujesz się tam bezpiecznie — mówi Gordon.

Ravelston z namysłem potarł nos. — Wydaje mi się, że to tylko inna forma samobójstwa.

— Poniękad. Lecz podobnie rzecz się ma z socjalizmem. To parada rozpacz”.

Druga interesująca sprawa przynależy do sfery najdelikatniejszej, bo do seksu, miłości i kobiet. Od początku lektury „Wiat aspidistra” podobał mi się poprawny, mieszczański w granicach zdrowego rozsądku, antyfeminizm poety Gordona. Nie będąc pederastą, był antyfeministą i o tym mówić głośno...

„Te kobiety! Jakież to niezdolne! Jaka szkoda, że nie możemy się bez tego obyć, lub przynajmniej być jak zwierzęta — parę minut gwałtownej chuci i całe miesiące lodowatej wstrzemięźliwości. Weźmy na przykład samca bażanta. Wskakuje samicom na grzbiet, nie pytając o pozwolenie. A zaraz po tym zapomina o całej sprawie. Niemal nie zauważa samicy, nie zwraca na nie uwagi lub dziobie je, gdy mu podchodzi zbyt blisko do jedzenia (...). Szczęśliwy bażant! Jakże inna sprawa z panem stworzenia, mlotającym się pomiędzy wspomnieniem a sumieniem”.

Gordon miał swoją zastępczą filozofię życia. Afirmował samotność, bo nie miał pieniędzy. Nie cierpiał kobiet, bo nie miał gotówki. Lekka przesada mogła się wydać rezygnacją z twórczości poetyckiej, też rzekomo z powodu braku „forsy”. (No, no, gdyby w Polsce ci, którzy są bez pieniędzy, zrezygnowali z pisania, mielibyśmy kraj bez wierszy. Ale to niemożliwe!)

„Pieniądze, pieniądze, pieniądze to wszystko! Czyż można napisać choćby tanią nowelkę bez pieniędzy, które dodają otuchy? Inwencja, energia, dowcip, styl, wdzięk — za to wszystko trzeba płacić gotówką”.

Czym jest dla mężczyzny kobieta, jeśli nie ma się stałej pensji? Czym jest uczucie i tzw. związek małżeński? Czym jest stosunek picłowy?

„Tak więc stało się to w końcu — pisze Orwell — bez wielkiej przyjemności, na obskurnym łóżku Mamy Meakin. Wreszcie Rosemary wstała i poprawiła ubranie (...). Odczuła przerażenie, rozczarowanie i przenikliwe zimno”.

To nieprzyjemne odczucie nie było jednak przeszkodą, by po wielu niesukcesyjnych próbach poślubił poetę Gordona, kupić doniczkę z aspidistrą i rozpocząć normalne, drobnomieszczańskie życie, jak każda angielska rodzina. Wojna wypowiedziana przez Gordona społeczeństwu skończyła się w chwili zajścia Rosemary w ciążę. Natura po raz kolejny zwyciężyła „rewolucjonistów”. Gordon skapitulował, ale jego stwórca, George Orwell, wciąż triumfuje!

„A teraz trwa wiara, nadzieja, pieniądze, to troje: z tych zaś większy jest pieniądz” — ironizuje autor „Folwarku zwierzęcego”. „Roku 1984”, „Hołdu Katalonii”, „Wiat aspidistra” i innych książek, które czekają na druk w naszym kraju.

# DARY

Waldemar Dras

Four Babète. Możemy milczeć tak długo, jak długo jesteśmy sobie potrzebni. Czasami mijają tylko jeden dzień. Julio mówi inaczej. Jedno zdjęcie równa się tysiącu słów. Spoczywa na twojej jasnej głowie. Więc to ty, a nie ja, masz mówić o szczęściu. Ja nigdy nie udawałem, że śpię.

Fioletowe linie wzdłuż kolan. Ach, te dziwne spojrzenia w dół! Oddychając śnieżnymi wzniesieniami moich potknięć, budziłaś się i zasypiałaś jak



dziecko. Nikt nie mógł stracić cię szybciej niż ja, moja ty niczyja. Żadna ostateczność nigdy nie miała do ciebie dostępu. Kimkolwiek byłem, zawsze złościło mnie to, że mogę umrzeć jeszcze dalej.

Trzecia nad ranem. Śnieg Fabioli. Pałę. Czerwone okienko zjawia się w granatowym. Afterimage. Wyciągam rękę, mijam ją, nie słyszę żadnych głosów. Jak Sted, bardzo nieśmiało proszę Boga albo kogo innego, byś była i bym mógł cię zobaczyć.

Zamiast deszczu słońce coraz niżej. Trwają nagrody poranka. Gwiazdy, które zniknęły, robią swoje: sprowadzają cię na ziemię. Mój wynalazek działa.

Dym wzdłuż rzeki, która powoli przestaje płynąć. Zachód słońca powtarza się jak idiota. Dlaczego nie czytam Wittgensteina?

Krzyże w biały dzień. Zarzucone ciało toczy się o jednym pocałunku w ramię. Głębiej nie ma już nic. Światło pada z góry: jak wodospad. Jest tak, jak jest. Trudno, każdy ma jakiś świat. Czasami dobrze jest spojrzeć pod siebie, chociaż najprościej byłoby umrzeć tej nocy, która była. Dzień świeci dalej, niż jest.

Zamki są długie. Co się stało, że mogę tak iść i iść?

Szare niebo. Wczoraj. Fioletowa rysa przebiegła przez słodkie ciało. Ren. Ren w Düsseldorfie. A może tak jak ten biedny kot, jak pisze Lowry, który w bójkę stracił oko, mężczyzna szuka po prostu swego wzroku? Och, tak ciemno nie było tu jeszcze nigdy! Zbliżyłem się do własnej ręki. Ulubiony krajobraz stacza się do samych kolan. Przebudzenie nie nadchodzi. Tak jak ty. Linie przecinają się w tę samą stronę, boją się.

Jest wtorek, 16 września. Bardzo daleko stąd. Jem figę. Kilka godzin zamiast całego życia powinno mi wystarczyć.

Jej usta sprawiają, że później.

Koniec listu. (Dawno temu siadaliśmy na ściętych drzewach. Byłam lekka, zachwycona twoim głosem, listami o tym, co kochasz i jak. Pragnęłam być dotykana, dziwna, uśmiechnięta. Należę tylko do ciebie — cztery słowa, które znaczyły Życie. Dziś chodzę po ogromnym dywanie. Niebieski szlafrok.



Czerwona zapalniczka. Pałę. We wszystkich oknach stoją twoje kwiaty. Biały telefon i pierścionek są zachwycone moim ciałem od ciebie. Czy zawsze chodzi tylko o to, by wziąć lub zostawić? Babète? Camus?).

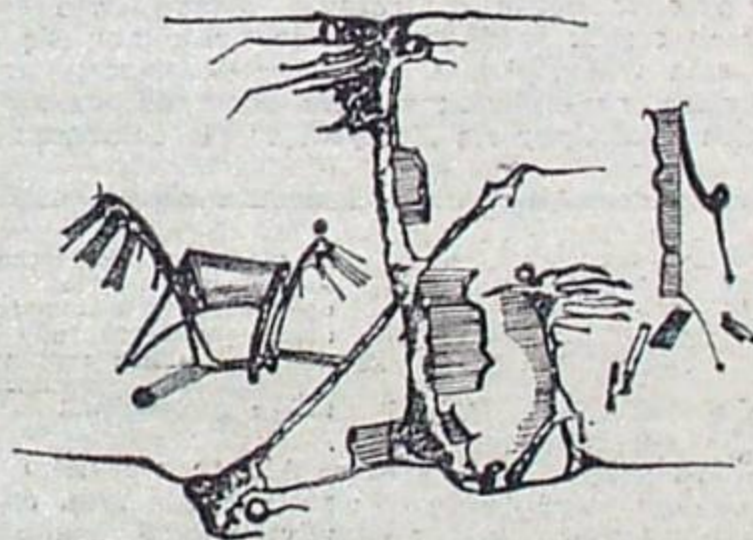
Jedenasta filiżanka herbaty. Rano. Dziwna chwila niepołączenia. Wystarczy spojrzeć. Droga do jest w tym samym miejscu co wczoraj. Jej kwiat wysuwa się z jej dłoni i pada na stół. Ach, kwiaty są szybkie, mówi i podnosi moją głowę. Dotknąłem jej oczami, mówiąc dużo szybciej: Chińczycy uczą, że do jednej akwareli lub lavis należy używać tylko jednego pędzla.

Zawsze taki byłem: dziś bardziej niż jutro. Niedourodzony.

Przeszliśmy cały park. Słońce zaszło. Ma już swoje miejsce na jej czole, jak ja tamtą kartkę: nauczyłeś mnie bycia piękną, kochaną, jedyną. (Dawid powiedział kiedyś, że każdy człowiek ma w głowie trupa czaszkę).

Dzień później. (Zawsze jest dzień później). Rysuję krzesła, chustki, pogaszone lampy, kartki, kieliszki, szaliki. Przelykam jedno okno po drugim. Nie interesuje mnie zmartwychwstanie ani dziś, ani jutro. Nie pociąga mnie śnieg na dole. Nie mam białej marynarki. Nosi mnie filiżanka somi i ruch powietrza. Rysuję krzesła, parasolki, kwiaty. I co z tego, że kiedyś nie było tu nic, skoro nie ma dalej? Czy życie nie powinno nazywać się jakoś inaczej? Co jeszcze mogę zostawić? Co? Jak? I komu? Dzień po dniu mijają dni, których nigdy nie było. Ale nie to jest straszne, nie to. Straszny jest brak skoków w siebie, uchybień... Czegoś tam jeszcze. I ciebie. Bo prawdziwa miłość to listy co drugi dzień.

Odejdźcie liści. Od do. Ale akcja jest we mnie. Jak Bóg, którego nie można cofnąć. Jak stracić kogoś.



Każda następna noc: Wydobądź ze mnie tę kaluzę, wydobądź ją! Ja i ten świat — na palcach. Ja i ten deszcz — w oknie. Wszystko jest jakieś inne. Jak ten sam sen, który w innym miejscu to samo pochłania ramię.

Nienasycenie: „Podnoś moje rzęsy, nie opowiadaj słów, całuj pod pachami. Dotknij go; dotknij! Niech wie, co mógłby stracić”.

Podążając przerwany spacer, zawsze na końcu świata, zapytuje G.: Co ci się może zdarzyć tam, gdzie nic ci się nie przeciwstawia i nic nie jest w stanie stać się twoją granicą? Leciutki wiaterek, odpowiada Babète. Leciutki wiaterek i dzisiaj.

Każdy może klęknąć w oknie. Każdy sam.

Z listu do Mee. Bo nigdy nie zabrakło mi łez w czasie, gdy oplakiwałam nagle twoje życie, a teraz nagle twoją śmierć. Ju Lia.

Którejś nocy miałem 21 lat. Czytałem Turgieniewa. Było tam napisane: Każda modlitwa sprowadza się w końcu do tego „Wielki Boże, spraw, by dwa razy dwa nie było cztery”.

Plamy słońca. Oprawdaj mnie, oprawdaj. (Ten sam głos co wczoraj. Tak, jak leci: Jesteś mieszaniną pewnego uśmiechu i wyschniętego gardła. Twoje serce jest we mnie).

Słucham Rachmaninowa. Jak deszczu. Morze jest daleko. Ołówki, zdjęcia, nożyczki i stalówki leżą na podłodze w kreski i kartki o tym, do czego sprowadza się całe moje dziś. Nikogo nie rozśmieszam. Leżę w tym i pałę. Mówię, przyjdź Babète.

Najpierw mówię, a później piszę. Przyjdź i zostaw mnie samego. Bo wszystko razem, jak podkreśla Julio, wszystko razem przypomina zły sen.

Emil Tuff i Fabiola Mat. On: Dwa nagie ciała tworzą jedno i jedno obok drugiego. Ale nie gło- wy. Ona: A listy? A zapalki? On: Mówię o ciałach, które kochamy.

Inaczej niż słucha się deszczu: Wtedy było słońce. Wtedy było iść, podziwiać fale i kwiaty. Na



wszystko patrzeć, jak na śpiące dziecko. I nagle jest dziś. Nagle jest to, że ty nie umrzesz nigdy. Jak wczoraj.

Jej głos. Czysty i ciepły, zlizujący rany. Biała zielen.

W środku dłoni. Później runął jeden dom za drugim. Nie spóźniło się ani jedno światło. Później kroki, dużo kroków i pchnięcie. Gorące pocałunki, strach, płacz i śmiech. Później umysł lekko już Boga odnalazł. Jak Piotr.

Niebo. Jak kiedyś. Mogłoby trwać i trwać. Dziś oglądamy dziwny, pomalowany na niebiesko park. O, mówię do siebie z palcem w ustach, gdzieś już to widziałem. Ale to było dawno. Co? zapytała, kładąc moje lewe ramię. Moje ciało, odpowiedziałem, które teraz bawi się twoim głosem. (Mówi ci to coś?).

Któż wie, dokąd nas zawiedzie ostrożność? Z Kleista.

Chroń jej ciało. Jej ciało i jej uśmiech. Aż będzie ciemniej. I inne światła, aby ją zachować na zawsze, zgasną z przyjemnością. Boże, czy twoja wieczność nie oznacza wieczności twoich posunięć? Chroń ją, zachowuj się.

Genialny Dufy. Trzeba umieć porzucić obraz, który chciało się namalować, dla tego, który się właśnie maluje. (Słyszysz?).

Inne popołudnie. Inny list. Życie tak, jakbyś sobie tego życzyła. Całować twoje dłonie i stopy jaśniejsze niż słońce i śnieg. Kochać się w twoich kwiatkach. Sypiać w twoich ciapach... (Mee to Ju Lia, Rzym, 11 kwietnia).

Rysunek. Ze jesteś.

Poddeptane liście. Służę prawie Bogu, rzucać sobie chleb... Płynąć niewielkim, mieszczącym się na twojej dłoni statkiem. Lizać śnieg. Być niedaleko stąd. Dlaczego chcę? (Gdy dzień nie ma już siły bycia dniem, gdy noc nie ma już siły bycia nocą... Powiedz: to wszystko, co mam).

Jak oddycha. Jak nie może spać. Nie dotykając tylko samej siebie. Tak cicho. Jak patrzy.

Spotkaj mnie mówiącego do siebie; przyjdź boso, uśmiechnij się. Narysuj niebo. Pomaluj wiśnie. Powiedz, co mogą wiedzieć o rzece, w którą patrzysz, płynące w niej kije. Powiedz to, co jest. Nie słychać deszczu. Nie słychać drzew. W oknach przepala się różowy dzień. Spotkaj mnie mówiącego do siebie: dziecko odkrywa świat, przewracając się. My bierzemy je tylko na ręce. Przyjdź.

Nie tracąc nadziei nie tracimy nic. (Pat?).

Wody Zembo. Poranek trwa. Nasze oczy są w naszych rękach. (Jest wtorek, 24 września, dzień drugi, strona trzecia. Kiedy się kogoś kocha, to musi się umieć czekać i bardzo powoli myśleć o swoich przyzwyczajeniach).

Apulia. Zamek Hohenstaufów. Bez okien i bez drzwi. Apulia, głos zatrzymany w oku. Chichot podniebienia.

Świat od zapalki. A jeżeli deszcz przestał padać? Co to znaczy, że las może się przewrócić? Szmer wodospadów? Tutaj?

Srebrny wyrzut okien, ciało obok ciała, niewielki biały łód do odkrycia... Chodzi o to, by łódź, do której się zbliżamy, nie przechyliła się tak szybko, jak szybko może przechylić się tylko łódź.

Dwa krótkie nożyki przebiegły drogą od drzewa do drzewa: koty.

Inna kartka, inna ręka, inny ołówek. Południe. Pałę. Niebo w górze, u stóp mojej matki. Mijam kwiaty maku, filiżankę herbaty, dzwonek, list w rękawiczce. Życie jest bardzo długie.

Nicea. Ille de Beauté: Opuść moje kamienie. Opuść je.

(fragment większej całości)  
Rysunki autora

Redagują: Marek Danielkiewicz, Urszula Gierszon, Urszula Jaros, Grzegorz Mitrowski, Grzegorz Pernach.  
Adres dla korespondencji: 20-010 Lublin, ul. Graniczna 9, tel. 234-49.

## Z przeszłości Lublina

# Jak budowano Dom Żołnierza Polskiego

**B**YL 22 marzec 1924 roku. W sali ratusza lubelskiego zebrało się 40-osobowe gremium, reprezentujące szeroką i wpływową społeczność miasta, cywilną, wojskową i duchowną. Miała zapisać decyzja podjęcia wcale nie tak łatwej w tym czasie budowy Domu Żołnierza Polskiego w oparciu jedynie o fundusze społeczne.

Pomysł utworzenia w Lublinie ogniska kulturalno-oświatowego dla stacjonujących tu żołnierzy klął się już od dobrych pięciu lat. Taka była potrzeba chwili. Uzyskana po przeszło 100 latach niewoli niepodległość Polski wymagała jej duchowego krzepienia w świadomości obywateli, w patriotycznej — jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli — edukacji narodu.

Wybuchło wtedy polskie szkolnictwo, rozwinęła się oświata pozaszkolna. Niesiono ją przeto ze szczególnym namaszczeniem do żołnierskich garnizonów w słusznym przekonaniu, iż „największe wysiłki finansowe państwa na uzbrojenie techniczne i wyszkolenie li tylko fizyczne żołnierza nie nie pomogą w razie potrzeby, jeżeli duch narodu zawiedzie”.

To „szczególne namaszczenie” — mówiąc prościej — było regulaminowym nauczaniem i uświadamianiem obywateli w czasie ich służby wojskowej. Przy garnizonach więc i obozach wojskowych powstawały izby szkolne, świetlice, biblioteki, czytelnie, gospody i sale klubowe, teatry i sale zabawowe. W trzech tylko miastach ówczesnej Polski udało je się skupić w specjalnie ku temu wznoszonych obiektach. Już i Kraków chwalił się Domem Żołnierza, i Bielsko, już i dach nakrywał nowy Dom w Równem.

Przyszła teraz kolej na Lublin i był już 1924 rok. Miejsca władza wojskowa ustabilizowała się, dając rękojmię swoim decyzjom. I oto w sali Rady Miejskiej, na walnym zebraniu organizacyjnym, owych 40 sygnatariuszy służącej sprawie powołało spośród siebie komitet budowy Domu Żołnierza Polskiego, składając przewodniczącym w ręce gen. dyw. Jana Romera — dowódcy OK II w Lublinie Kierownikami zaś sekcji — zostały nie mniej godne zaufania osoby — H. Bryłowa, małżonka wicewojewody lubelskiego, która zajęła się dochodami niestającymi; K. Iwanicki — sprawami techniczno-budowlanymi, wymieniony w rok później na inż. I. Kędzińskiego; E. Chamski poprowadził sekcję propagandy, a rozbiórka soboru prawosławnego na Placu Litewskim zajęła się sekcja eksploatacyjna pod wodzą płk. B. Olbrycha, szefa 3 pp. Leg. Techniczne zaś kierownictwo nad budową powierzono mjr. inż. arch. Mieczysławowi Dobrzyńskiemu (ówcześnie w randze kapitana). Czym prędzej też pchnięto delegację do prezesa Rady Ministrów, Wł. Grabskiego, ministra spraw wojskowych, gen. Wł. Sikorskiego, ministra spraw zagranicznych, A. Zamoyskiego, oraz wojewo-

dy lubelskiego, St. Moskałewskiego, tudzież i biskupa polowego Wojska Polskiego, ks. Gułła — po akceptację planów i projektów budowy, z nadzieją na nie tylko dobre słowo, ale i konkretną pomoc.

Komitet zakładał wybudowanie i wykonanie Domu Żołnierza w Lublinie w ciągu dwóch lat w oparciu o społeczne składki, czyny i ofiary. Szaleństwo to równo szarży na haubice? Dlaczegoż by nie? Realną pomoc zgłosił przecież rząd, wojsko, banki i Kuria Biskupia. Ministerstwo Spraw Wojskowych dało zgodę, przydzieliło także i plac — najważniejszą sprawę — za niewielką wsteczną dzierżawę, a ponadto obiecało materiały budowlane.

Bank Gospodarki Krajowej pośpieszył — jak to bank — z 25 tysiącami pożyczki, tylko, że na warunkach, które w trakcie budowy okazały się nie do przyjęcia.

Okręgowa Dyrekcja Robót Publicznych oddała solidnie, bez biurokratycznych wykrętów, były gmach soboru prawosławnego na Placu Litewskim do rozbrania i wykorzystania cegły oraz pomoc inżynierską. Kuria Biskupia zaofiarowała poparcie dla wysiłków komitetu z szerokim, nie można powiedzieć, odzwonem wśród wiernych. Banki zaofiarowały się z pożyczkami wekslowymi, a Urząd Wojewody Lubelskiego, Prezydent Miasta i Starostwo — pośrednictwa między komitetami a urzędami.

Wszystcy głęboko rozumieli, iż „ubożala Polska szuka oszczędności kosztem wojska, jego liczby, uposażenia. Jeśli już wojsku dać nie możemy ni liczby sprzętu obfitego, dajmy mu choć ducha, ducha zdrowego, gorącego, polskiego. Temu celowi ma służyć Dom Żołnierza...”

Był więc już zatwierdzony plac i materiał. Plac w najlepszej położonej części miasta, w śródmieściu prawie, naprzeciw Ogrodu Saskiego, przy spokojnej uliczce (dziś ulica Zwirki i Wigury), nieco w bok od głównej arterii Lublina — Alei Racławickich. Po raz pierwszy plan regulacji miasta wkraczał z rozbudową w zachodnim kierunku Lublina, stanął tutaj i w śródmieściu nowe obiekty i gmachy użytku publicznego, m. m. „Bolanum” — Instytut Misyjny Jezuitów; przy ulicy Spokojnej — gmach Izby Skarbowej (późniejsza siedziba PKWN); wytyczone też zostały ulice Weteranów, Skłodowskiej, Głowackiego. Od ulicy zaś Lipowej ku dworcowi kolejowemu pobiegła Nowa Droga. Połączyła ona śródmieście z południowymi dzielnicami Lublina i stacjonującymi tam obozami wojskowymi. Miało to istotne znaczenie dla funkcji Domu Żołnierza jako centralnego ogniska kulturalno-oświatowego dla wszystkich żołnierskich skupisk w Lublinie i łączności pomiędzy nimi.

Wszystkie te innowacje i szereg innych, nie wymienionych były dziełem szefa Wydziału Budownictwa Miejskiej Rady inż. I. Kędzińskiego. Projekt Domu Żołnierza przedłożył wysokim komisjom w Ministerstwie Spraw Wojskowych w Warszawie mjr. inż. arch. Mieczysław Dobrzyński. Jakż więc miał być ten Dom?

Major Dobrzyński zaproponował, by był to gmach w stylu stanisławowskim-neoklasykistycznym, o założeniu centralnym, składającym się z trzech części: środkowej, gdzie mieściłaby się duża sala widowiskowa, dwa westibule, scena, podscenium, nadbudowa; w dwu bocznych zaś skrzydłach mieściłyby się „instytucje” dla żołnierzy: go-

spoda, biblioteka, czytelnia, sale wykładowe, pokoje gościnne, żołnierski sklepik, muzeum, warsztaty i pracownia.

A na dachu? Na płaskim dachu, wspartym żelbetonowymi konstrukcjami, odbywałyby się latem zabawy towarzyskie. Dobrze?

Dom Żołnierza ozdabiałby na zewnątrz, aż do ulicy łączącej ulicę Lipową z Białą, ogród owocowy ze szkółką drzewek i kwiatów. Na placu obok — małe boiska, kort tenisowy, kręgielnia i konieczna strzelnica pokojowa.

Nie mógł więc ten projekt nie podobać się i decydom, i komitetowi, i żołnierzom.

Przy wszystkich okazjach podkreślano wielki dla żołnierza polskiego kult w Lublinie. Odważył się do wiekowych tradycji, a także i niedawnych gestów patriotycznych. W 1915 roku Lublin witał wkraczające do miasta oddziały Legionów, powstało wtedy wiele instytucji, które objęły opieką legionistów, otwierając dla nich biblioteki, gospody, patronackie komitety pomocy.

W 1918 roku tworzyły się w Lublinie pułki, które wyruszały na wschód celem oczyszczenia ziemi polskich z resztek wojsk okupacyjnych. Miasto, choć zrujnowane, zaopatrywało oddziały w żywność, odzież, książki. Roztaczano też serdeczną opiekę nad powstańcami styczniowymi. Powszechnie było dążenie, by zatrząść ślady niewoli przez rozbranie soboru na Placu Litewskim. Lubelska społeczność ufundowała tablicę pamiątkową ku czci Nieznanego Bohatera Narodowego — Nieznanego Żołnierza — na Placu Litewskim, sytuując ją naprzeciw pomnika Konstytucji 3 Maja, oraz złożyła hołd Jego Pamięci w czasie sprowadzania pociągami Jego zwłok ze Lwowa do Warszawy. Dom Żołnierza miał być kulminacyjnym akcentem narodowej wdzięczności, pamięci i narodowego długu dla polskiego żołnierza.

Do rozbiórki soboru przystąpili legionści z 3 pp. Leg. pod dowództwem płk. B. Olbrycha oraz płk. A. Kaweckiego — komendanta miasta. Wspomagali: szef sztabu DOK II, dowódca 7 pp. Leg. płk. M. Więckowski i inni.

Pierwsze cegły szły już na budowę gmachu. Pierwsze też cegielki — datki pieniężne — notowane były w pamiątkowych księgach ofiarodawców: „W naszym systemie fortifikacyjnym przypada rola donatora twierdzy, które chronią wojsko pancerzem patriotyzmu, ducha żołnierskiego i świadomości obywatelskiej przed trującymi pociskami wroga. Są to Domy Żołnierza” — taka oto dedykacja, jedną z pierwszych, wpisał do ksiąg przewodniczący komitetu budowy, gen. dyw. Jan Rómer. I dalej można było odczytać nazwiska: ks. biskup M. L. Fulman; wojewoda lubelski, St. Moskałewski; wicewojewoda St. Bryła, K. Rzeszotański, dyrektor Banku Polskiego: J. Skibiński, działaczka oświatowa dla żołnierzy; następnie rodziny Sobieszczańskich, Kowerskich, Sułowskich, Cz. Szepiński — prezydent Lublina, redakcja „Głosu Lubelskiego” i „Expressu Lubelskiego”, J. Grodzki, dyrektor Teatru Miejskiego i inni.

Po ile wpłacano? Poczytajmy: prof. F. Araszkiewicz — 4 zł, W. Arciszowa — 10 zł, parafla w Abramowicach — 7,25 zł, w Dysle — 10,14 zł, w Lopienniku — 31,11 zł, cech wędlinarski — 10 zł, Gmina Żydowska — 100 zł, „Hess” — 200 zł, Kasa Przemysłowców i Rolników Lubelskich ofiarowała 50 zł i ku uczczeniu im. prezesa Ciałwickiego — 1000 zł, „Lutnia Lubelska” — 50 zł, „Medrano” (czyż) za użycie placu wojskowego 500 zł, Związek Piłki Nożnej — 45,50 zł, pracownicy „Vettera” — 100 zł, Straż Ogniowa Ochotnicza — 60 zł, Zawodowa — 12,13 zł, i tak dalej.

Dokończenie na str. 11

# Złoty pociąg do historii najnowszej

Dokończenie ze str. 5

Oto pierwszy problem z filmem Poręby: do jakiego stopnia reżyserowi wolno w filmie nasycać temat stricte historyczny — fikcją, a więc wykonaną fabułą. I w którym miejscu skończy się granica takiego postępowania, sprawlając, że od tego miejsca zaczyna się już rozmijanie z historią? To jest sprawa bardzo ważna. Szczególnie, gdy chodzi o film popularny, masowy, na który nauczyciele — jak w wypadku „Złotego pociągu” — prowadzą tysiące uczniów. Zaś ci uczniowie traktują to, co oglądają na ekranie, jako swoisty „bryk”, czy też „ściągaczkę” do nauki najnowszej historii Polski, i nie tylko Polski.

Oczywiście, można się zastanawiać i stwierdzić, że w „Złotym pociągu” zamienione są nazwiska autentycznych bohaterów całej historii. Dyr. Karpiński nazywa się w filmie — Kowalski, płk Matuszewski to filmowy płk Górski, itp. Ale przecież — z drugiej strony — przewijają się w tym filmie

takie postaci jak minister Beck, rumuński minister spraw zagranicznych Gafencu, premier rumuńskiego rządu Calinescu. A więc ni to fikcja, ni to historyczny film faktu.

Jak na film sensacyjno-przygodowy przystało, wokół transportu polskiego złota rol się od hitlerowskich dywersantów, którzy co chwila atakują w perfidny sposób polską kolumnę samochodową. Od krótkofalówek, sprawa-działających na polskich bankowców niemieckie bombowce. A i w tonie samej polskiej ekipy znajduje się piękny damski szwarczarakter, kobieta-szpieg, wciąż mieszająca szyki prowadzącemu transport dzielnemu majorowi Bobrukiowi.

Z filmu młodzież dowiaduje się ponadto, że poza momentami ataków na transport, gdzie się dużo paliło i dymilo, i trup ślad się gęsto, podróżowało się przez Polskę ku rumuńskiej granicy dość wygodnie i wspaniale, choć i ochotę na czystość, schludność i elegancję. Panowie — w szlachetnych kowalach, wojskowi — w zaprasowanych, bez jednej zmarzaczki mundurach, pani Renata, towarzysząca transportowi perfidna i zdradziecka sekretarka dyrektora Kowalskiego — w ślicznych kreacjach oraz kapitanu z obcyznym rądem, w którym budziłaby szal zachwyty na deptaku w Kryndy lub na moście w Jurca. Fakt,

że niemieccy dywersanci od czasu do czasu dekonspirują się, w sposób jakże łatwy do rozszyfrowania przez inteligentnego polskiego żołnierza, gdy np. zapominają, nakładając polski mundur, pozbyć się swoich eleganckich, niemieckich oficerskich butów z cholewami...

Ale to wszystko jeszcze nie w porównaniu z tym, co się zaczyna dziać, gdy polskie „złote autobusy” zamieniają się na granicy polsko-rumuńskiej w „złoty pociąg”. Którego strzeże teraz, pospół z majorem Bobrukiem, tryskający inicjatywą rumuński komisarz Munteanu (zreszta — już bez żartów — znakomicie gra go rumuński aktor Mítica Popescu).

Teraz dopiero zaczyna się „western nad westerny”! Połowa ponad dwu- i półgodzinnego filmu Poręby poświęcona jest kolejowej peregrynacji polskiego złota poprzez terytorium Rumunii (podróż ta trwała w 1939 r. niespełna dwa dni i odbyła się bez większych komplikacji), kiedy to dwa oszalałe pociągi (dwa — dla zmylenia czujności niemieckich dywersantów i współpracujących z nimi bojówek rumuńskiej Żelaznej Gwardii!) są bezustannie atakowane, napadane i rozstrzeliwane, i gdy trup się ściele na każdym kroku. W końcu już nie wiadomo, kto kogo gonł, który pociąg jedzie w jakim kierunku, i w ogóle kto jest kto!

Jednym z zupełnie „niepowtarzalnych” pomysłów reżyserkich i scenarjopisarskich jest sekwencja, w której major Bobruk i komisarz Munteanu postanawiają przerzucić podczas jazdy część złota z jednego pociągu do drugiego, pędzącego w tym samym kierunku po równoległym torze. Stają więc we dwóch w rozsuniętych drzwiach towarowego wagonu, a w drzwiach równoległego wagonu sta-

je dwóch rumuńskich żołnierzy. I... zaczyna się po prostu (!) przerzucanie w biegu złota z jednego do drugiego pociągów Złota tego jest kilka (kilka-nastu?) ton, zapakowanego w skrzynki po sześćdziesiąt kilogramów każda. I oto nasi bohaterowie... wywiązują się z zadania bezbłędnie, nie uroniwszy na ziemię ani jednej sztaby złota! A przede wszystkim — udowodniają, że siła oraz zręcznością biją na lew mitycznych Tytanów!

Film Bohdana Poręby, pięknie przecięty fotografowany przez Mariana Stancu i Nicolae Girardi, przygotowany na pewno z ogromnym nakładem pracy i nieporównywalnym dynamizmem, dobrze wyreżyserowanych scen, charakteryzuje się zarazem nieprawdopodobnym nagromadzeniem sensacyjnych sytuacji. Do tego stopnia, że staje się to w pewnym momencie, aż karykaturalne i wzbudzące wesołość na widowni.

Poręba nie potrafił się zdecydować, czy jego film ma być filmem faktu (część dziejąca się w Bukareszcie, w rumuńskim kręgu polityczno-rządowym), westernem (część „kolejowa” na terenie Rumunii), czy obrazem sensacyjno-przygodowym (część dziejąca się w Polsce). W sumie powstaje z tego gigantyczny, kolorowy, nafaszerowany pirotechniką filmowy mieszmasz. Który w finale zostaje „ukoronowany”, w dodatku, takim oto m.in. napisem na ekranie: „Dwa dni po wypłynięciu polskiego złota z Konstancy prezydent Polski i cały rząd poprosili o azyl (podkreślenie — M.D.) w Rumunię”.

Na tego rodzaju „dictum”, każdy, kto choć trochę wie, jak ów „azyl” wyglądały — zaczyna się zastanawiać, czy głośno się śmiać, czy też gorzko zapłakać.

Mirosław Derecki



# Łuny na Wołyniu

Jerzy Krasowski

**S**ZUKAJĄC przyczyn tragicznych wydarzeń, jakie rozegrały się w latach 1943—1944 na Wołyniu, Polesiu, we Wschodniej Galicji i Chełmszczyźnie, należy wymienić rozbieżność poglądów Polaków i Ukraińców w kwestii przynależności Ukrainy Zachodniej, to jest Wołynia i Galicji, do Polski.

Nacjonalści ukraińscy spod znaku OUN już przed wojną poszli na drogę awanturnictwa i terronu indywidualnego wobec przedstawicieli Państwa Polskiego. Uwzględniając ten fakt, można stwierdzić, że rzezie Polaków w okresie okupacji, jako podstawowa metoda walki o państwo ukraińskie, nie były niczym nowym. Stanowiły jedynie przejście od terronu indywidualnego z lat 1918—1939 do realizacji planów masowej zagłady Polaków na tych obszarach w latach 1943—1944.

Rozmiary zbrodni uzależnione były od ilości sił ukraińskich włączonych do walki przeciwko Polakom. Trzeciym elementem OUN, prowadząc intensywną pracę propagandową wśród ludności ukraińskiej, wyraźnie podburzając ją do mordów i grabieży.

Eksterminacja ludności polskiej zamieszkałej te tereny rozpoczęła się na Wołyniu w końcu 1942 roku, stopniowo przesuwając się ze wschodu na zachód. W lutym 1943 r. najbardziej zagrożone były rejony Sarn, Kostopola, Równego, Zdobunowa i Krzemienca. Do czerwca 1943 r. zagrożenie rozszerzyło się na rejony Dubna i Lucka, w lipcu na Horochów, Włodzimierz i Kowel. W końcu 1943 roku cały Wołyń stał się już terenem tragicznych wydarzeń. Faszystki ukraińskie spod znaku OUN, podburzając nieświadome elementy ukraińskie, skierowali ich broń przeciwko ludności polskiej.

Ofiary były nie tylko wśród Polaków, ale również wśród radzieckiej partyzantki, Żydów i nieprzyjaźnie wobec OUN-UPA nastrojonych Ukraińców. Nasilenie antypolskiej akcji nie ustalo również w 1944 r. z tym jedynie, że cofając się przed frontem, przeniosła się ona dalej na zachód, za Bug i San, na tereny powiatów: hrubieszowskiego, chełmskiego, tomaszowskiego, biłgorajskiego i innych.

Do antypolskiej działalności zaangażowano różnorodne elementy ukraińskie niezależnie od ich przynależności organizacyjnej. Wsie polskie pacyfikowali członkowie OUN i UPA, policja ukraińska i — szczególnie w 1944 r. — melnykowskie oddziały dywizji SS „Galizien” (Halycyna). Data się do tego włączyła również część popierającego nacjonalistów chłopstwa — zarówno przez udział w wymienionych organizacjach, jak i z własnej inicjatywy dla rabunku.

Początkowo mordowano poszczególne osoby, później rodziny polskie mieszkające z dala od wsi i większych skupisk ludzkich, a następnie rozpoczęto masową rzeź całych polskich osiedli i wsi. Pod ciosami siekier i noży, palona żywcem, ginęła bezbronna ludność. W wielu miejscowościach zapanała cisza śmierci. Jesienią 1943 roku działalność UPA i band terrorystów przeniosła się na tereny Lwowskiego, Stanisławowskiego i Tarnopolskiego, a także częściowo na południowo-wschodnią część Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny.

Na terenie tzw. Ukrainy Zachodniej można wyróżnić trzy etapy terronu OUN i UPA. I etap — do grudnia 1942 — mordy na pojedynczych osobach i rodzinach polskich. II etap — od stycznia do kwietnia 1943 r. — charakteryzuje się zorganizowanymi napadami jednostek UPA na polskie osiedla, przeważnie całkowicie bezbronne; III etap — to napady dużych grup i oddziałów nacjonalistycznych na polskie ośrodki samoobrony.

Początek temu dał Taras Borowiec, ps. „Taras Bulba”. Po zejściu do lasów formacji policji ukraińskiej utworzył on na terenie powiatów kostopolskiego i sarnskiego zorganizowane grupy zbrojne. Pierwszego masowego mordu dokonano 12 listopada 1942 roku we wsi Obórki koło Przebraża. Ofiarą nacjonalistów ukraińskich padła ludność całej wsi, nie oszczędzono nawet niemowląt i starców. Również okrutny mord zbiorowy miał miejsce we wsi Porozie k. Antonówki pow. Sarny. Ofiarą bestialstwa nacjonalistów padło wówczas 17 rodzin polskich i 3 ukraińskich. 21 i 22 kwietnia 1943 r. jednostki UPA dokonały jednego z najbardziej krwawych mordów w Janowej Dolinie na Wołyniu, osadzie zamieszkałej przez około 600 Polaków, głównie robotników miejscowych kamieniołomów bazaltu. W tym czasie w Hańczowie zginęło 216 osób, w Marcełowce 150 w Zagaju k. Podhajca 318 Polaków, w Dominopolu k. Włodzimierza około 600.

Kiedy bulbowcy i banderowcy, a także elementy bandyckie rozpoczęły masowe akcje przeciwko ludności polskiej, szczególnie wiejskiej, zaczęła ona masowo uciekać do miast i większych ośrodków wiejskich. Położenie ludności polskiej było tragiczne. Tysiące rodzin przekraczało linię Bugu i szukało schronienia na ziemiach etnicznie polskich. Ogółem w latach 1943—1944 na tereny polskich wiosek Lubelszczyzny przybyło około 30 tys. osób. Niemcy, wykorzystując sytuację, rozpoczęli wywóz bezbronnej ludności na roboty do Niemiec. Część ludności, która znalazła się (schroniła) w miastach i ośrodkach samoobrony, była bez żadnych środków do życia.

Pozostała na zagrożonym Wołyniu ludność polska w większych skupiskach zaczęła organizować samoobronę. Powstały prawdziwe obozy warowne, liczące nieraz po kilkanaście tysięcy ludzi. Takim najistotniejszym i największym ośrodkiem samoobrony ludności polskiej było Przebraża k. Kiwerc — około 25 tys. ludzi. Znalazło tam również schronienie wielu Żydów, a także Ukraińców prześladowanych przez nacjonalistów. Z bohaterkiej obrony zasłynął Hańczów oraz samoobrona w Rożyszczach. Silne samoobrony działały także w miasteczkach, jak Beresteczko, Horochów i inne. Warowniami stały się również mniejsze miejscowości, jak Małyńsk k. Sarn, Pańska Dolina, Zasmyki, Spaszczyna, Bielin, Kupiczów, Rymacze.

W obozach warownych, umocnionych bunkrami, z rozbudowanym systemem tranzei, otoczonych zasiekami z drutu kolczastego, broniła się ludność polska w 1943 r. i wiosną 1944 r. Obozy takie mogły długo wytrzymać oblężenie pod warunkiem, że miały dostateczną ilość broni, amunicji i żywności. Jeżeli obóz był słabo zabezpieczony i zaopatrzony, groziła mu nieuchronna zagłada, a ludność ginęła w najstraszniejszych męczarniach i torturach.

Dlatego też podstawowym warunkiem przetrwania w owych warunkach było zdobycie i nagromadzenie odpowiedniej ilości broni i amunicji. Uzbrojenie zdobywano najróżniejszymi sposobami. Skrzętnie wydobywano broń ukrytą w 1939 i 1941 r. Głównie jednak dostarczały jej polskie organizacje podziemne, szczególnie lokalne komendy AK, a także oddziały partyzantów radzieckich. Wręcz broń zdobywano na nieprzyjaciela, a nawet kupowano od Węgrów, którzy nagminnie nią handlowali, i od hitlerowców za żywność i złoto.

Mimo że członkowie nacjonalistycznych grup ukraińskich przeważali zarówno liczebnie, jak i pod względem uzbrojenia (dostarczanego przez Niemców), nigdy nie udało im się całkowicie zniszczyć ośrodków polskich. Same istnienie samoobrony umacniało ducha ludności polskiej w dążeniu do przetrwania. Oddziały upowców, banderowców czy bulbowców, czasem licząc po kilka tysięcy „sirlców”, kolejno atakowały obozy warowne. Niektóre zostały zdobyte, a ludność polska wymordowana. Banderowcy zdobyli m.in. obóz w Hucie Stepańskiej, w której schroniło się kilka tysięcy Polaków. Przez trzy dni (16—18 lipca 1943 r.)

obrońcy bohatercko odpięli ataki upowców posługujących się artylerią i moździerzami dostarczonymi im przez Niemców. 18 lipca większość obrońców przerwała pierścienie okrzężenia i schroniła się w okolicznych obozach, część jednak bestialsko zabito.

Krwawe mordy na Ukrainie Zachodniej trwały aż do wyzwolenia tych terenów przez Armię Radziecką. Trudno określić liczbę Polaków, którzy padli ofiarą rzezi w latach 1943—1944. W przybliżeniu można przyjąć, iż na terenie Wołynia i Polesia wymordowano około 60—80 tys. Polaków.

W nie mniejszym stopniu banderowcy prześladowali wsie ukraińskie, które posiadały o sympatię do ZSRR. Znany pisarz ukraiński, Jarosław Hałan, w artykule pt. „Na dzień” pisał: „Już drugi rok dzieją się tam rzeczy, od których siewią młode dziewczęta. Uzbrojone od stóp do głów bandy hitlerowców ukraińskich otaczają o wsie polskie wsie, podpalają domy, a ludzi, którzy próbują uciec z płonących chat, na odlew rąbą siekierami. Robią to starannie, pieczołowicie, ażeby ani dusza nie umknęła straszliwej rzezi!”

Ludność ukraińska cierpiała podobnie jak polska. Przymusowe mobilizacje do UPA, a także w niektórych rejonach pobór do dywizji SS „Galizien”, ciągle grabieże i terror były na porządku dziennym.

Niemcy najczęściej nie udzielali pomocy Polakom i nie powstrzymywali banderowców w niszczeniu bezbronnej ludności polskiej. Często hitlerowcy wyręczali się banderowcami w walce przeciwko polskim i radzieckim partyzantom. Stwierdzono też bezpośrednio obecność licznych agentów hitlerowskich w grupach UPA, którzy organizowali i kierowali pogromami ludności polskiej (Akta Delegatury Rządu).

Jednak w niektórych rejonach Ukrainy Zachodniej władze okupacyjne udzielały pomocy polskim ośrodkom obrony, pragnąc w ten sposób wykorzystać sytuację dla własnych celów. Wydawną uzbrojenie członkom polskiej samoobrony pod warunkiem, że będzie ona pozostawać pod niemieckim nadzorem. Posunięcie to obliczone było na zaognienie stosunków polsko-ukraińskich. Jednocześnie hitlerowcy usiłowali użyć oddziałów samoobrony do działań przeciwko radzieckiemu ruchowi partyzanckiemu, co było nie do przyjęcia przez Polaków.

Ażeby uchronić młodzież przed wywiezieniem na roboty do Reichu, postanowiono utworzyć szereg placówek samoobrony. Przeszkolić po cichu wojskowo, zahamować częściowo mordy, zabezpieczyć w tym celu skupiska ocalałych w miastach i placówkach Polaków. W połowie stycznia 1944 r. większość placówek samoobrony została na rozkaz do lasu na koncentrację tworzących się oddziałów 37 Wołyńskiej Dywizji AK. Niebawem to była sprawa. Oddziały samoobrony, w liczbie około 1000 ludzi przeszkolonych z bronią i amunicją, wparły organizując się oddziały 27 WD AK. Przyczyniły się one w dużej mierze do oczyszczenia terenu przyszłej koncentracji.

Można przypuszczać, że gdyby nie hitlerowska polityka podsycania nienawiści Ukraińców do Polaków, tworzenia piątej kolumny z Ukraińców jeszcze przed wojną, a w czasie okupacji uzbrajanie policji ukraińskiej i wykorzystywanie jej do pogromów Żydów i Polaków, to mimo sprzeczności i antagonizmów polsko-ukraińskich nie doszłoby do tak straszliwych wydarzeń i przelewu krwi.

Do rozbudzenia szowinizmu i nacjonalizmu przyczyniło się również duchowieństwo. Szczególnie silne powiązania kleru grekokatolickiego z OUN można było zaobserwować właśnie w czasie wojny. Błogosławieństwo udzielone przez metropolitę Szeptyckiego Hitlerowi i jego armii „rządowi” Stecki oraz czynny udział duchowieństwa w

Jerzy Krasowski („Lech”), podchorąży, a następnie podporucznik służby stałej. Urodził się 16 października 1918 roku na Wołyniu. Po ukończeniu Gimnazjum im. T. Kościuszki w Kownem wstąpił ochotniczo do służby wojskowej. Odbył ją w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, a następnie został skierowany do Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu. W wojnie 1939 roku jako oficer zwładowczy i baterii walczył w szeregach 12 puł. Ciężko ranny w bitwie pod Iłżą, przedostał się do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie zostaje umieszczony w szpitalu. Od początku 1940 roku pracował w szkole w Iwaniczach jako nauczyciel fizyki i matematyki. W połowie 1941 roku wstępuje do Związku Walki Zbrojnej, następnie żołnierza Armii Krajowej. Organizował samoobronę polską przed nacjonalistami ukraińskimi w Iwaniczach, Porycku, Gurowie i Chobutowie. Uczestniczył w organizacji i walkach zgrupowania partyzanckiego „Oshowa”. W lutym 1944 roku mianowany dowódcą II batalionu 23 pp 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty. Po ciężkich walkach na Wołyniu przedostał się w maju 1944 roku na teren okręgu lubelskiego. W połowie czerwca obejmuje dowództwo nad oddziałem „Kozaka”. Następnie dowódcą 3 kompanii Baonu Zbrojnego II DP na Zamojszczyźnie. Po rozbrojeniu się Baonu, w pierwszych dniach sierpnia wstępuje do WP i zostaje skierowany do 3 zapasowego pułku piechoty na Majdanku w Lublinie. Później niestwierdzone aresztowany. Od 1947 roku pracował w zawodzie ekonomisty. Od 1950 roku na emeryturze. Mieszka w Szczecinie. Jest odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych, Krzyżem Kawalerskim OOP, Krzyżem Partyzanckim, Medalem Wojska Polskiego.

organizowaniu dywizji SS „Galizien” mówią same za siebie. OUN starała się utrzymywać najlepsze stosunki z cerkwią. Banderowcy wręcz wiązali sprawę nacjonalizmu z religią. W swych wystąpieniach przedstawiciele „prowydów” OUN sławili duchowieństwo grekokatolickie i prawosławne jako duchowych przewodców nacjonalizmu.

Trzeba jednak wspomnieć, że w wielu wypadkach księża grekokatolicki i popi występowali przeciwko aktom gwałtu na ludności nieukraińskiej. Wielu też za swe przekonania i czyny poniosło śmierć z rąk UPA. Istnieją liczne przykłady bohaterstwa Ukraińców, którzy narażali życie, niósąc pomoc ludności polskiej. Na porządku dziennym były wypadki ukrywania Polaków, ułatwiania im ucieczki lub ostrzeżenia przed nacjonalistami, za co UPA karało śmiercią, traktując to jako „zdradę Samostyjnej”. Ludność ukraińska, zamieszkująca tereny Wołynia, w większości nie była wrogo nastawiona do Polaków. Wielu też Polaków z tych ziem właśnie swym sąsiadom Ukraińcom zawdzięcza życie.

Za pomoc udzielaną ludności polskiej nacjonalści z OUN i UPA zamordowali wielu Ukraińców, pacyfikując całe wsie ukraińskie. Np. w Rudnikach k. Przebraża za odmowę udziału w napadzie na polską wieś zastrzelono popa Szymińskiego. W Kraszynie k. Lwowa ludność ukraińska przeciwstawiła się zbrojni UPA i nie dopuściła do napadu na Polaków. We wsi Skwarzyna w rejonie Złoczowa mieszkańcy, zarówno Polacy, jak i Ukraińcy, wspólnie wystąpili przeciwko banderowcom, wspólnie odpięli ich ataki i odnieśli zwycięstwo. To samo było w rejonie Doliny oraz w wielu innych wsiach i osiedlach.

Swoisty wypadek zaistniał w Porycku na Wołyniu. 11 lipca 1943 r. sotnia wymordowała Polaków, którzy byli w kościele podczas sumy. Był to jeden z czterech wypadków mordów w kościele na pld. Wołyniu (Kiełdlin, Zabłocze, Chrynow i Poryck). Pozostałe ludności polskiej w Porycku (kobiety i dzieci) miejscowi Ukraińcy nie pozwolili wymordować a zamknęli jak do getta; tych Polaków uwolniła samoobrona w Iwaniczach pod koniec sierpnia 1943 r. po nieudanym napadzie UPA na Iwanicze.

Wyjątkowo duże zasługi w organizowaniu samoobrony polskiej położyli placówki AK, tworzone na Wołyniu w połowie lipca 1942 roku w inspektora-ach AK Kowel, Luck, Równe. Nie-liczne początkowo oddziały „Sokola”, „Korda” i „Jastrzębia” w kowelskim, a także „Łuny” i „Piotrusia Malego” w rejonach Lucka i Włodzimierza oraz „Bomby” w inspektoracie Równe, ochraniały i wspomagały tworzone lokalne samoobrony polskie, jak Przebraża, Rafałówka, Zasmyki, Bielin i Spaszczyna, Pańska Dolina, Huta Stepańska, Adamówka i inne.

# Ponad przeciętność

Dokonczenie ze str. 1

zatem omiając taką kulturę na miarę potrzeb; kulturę, jaka bywała niegdyś, w czasach ogromnej erupcji wiejskiego ciągu ku oświeceniu? Kosarzew nie ma ośrodka zdrowia, jego kobiety jeżdżą rodzic do odległej o dziesięć kilometrów Bychawy, a jednak Kosarzew zafundował sobie pałac kultury. Nie żaden tam budynek skiełcony według sztampy; bo w Kosarzewie i sklep wygląda inaczej niż gdzie indziej i oba kościoły.

Co jest w tych ludziach? Światopoglądowy luz, który czyni ich bardziej otwartymi na widzenie świata? Ambicja? Wrodzony zmysł estetyki?

Wiejski Dom Kultury nie powstał teraz; teraz się tylko odrodził. A jego historia to kawałek prawdy o naszej polityce kulturalnej. Mówi Henryk Baran, ówczesny sekretarz Gromadzkiej Rady Narodowej i kierownik tamtej budowy:

— To był początek lat sześćdziesiątych. Inicjatywa wyszła od samych mieszkańców. Nie było we wsi lokalu, gdzie można by się spotkać. Początkowo myślnano o siedzibie Gromadzkiej Rady, ale chcieliśmy także kina, biblioteki, świetlicy i gabinetu lekarskiego. W jakiejś gazecie zobaczyliśmy zdjęcie obiektu, który się wszystkim spodobał. Szukaliśmy autora po całej Polsce. Budowa trwała 16 miesięcy. Każdy musiał pracować cztery — pięć dniówek społecznie, za następne placiliśmy. A potem była wielka pompa. Trzy dni trwała uroczystość otwarcia, a był to grudzień 1964 roku. Przez dziesięć lat, do chwili rozwiązania gromadzkiej rad narodowych, ośrodek żył pełnym życiem. Był teatrzyk, koło gospodyń, kółko recytatorskie, występy estradowe, stałe kino „Brzask”. Kiedy Gromadzka Rada przestała istnieć, zabrakło nagle gospodarza, a telewizja wyparła kino. Zaczęła się dewastacja budynku. Rozpoczęto od kotłowni — tu była schadzka dla pijaków. Kanalizację rozdrapano, ściany osiadła wilgoć, wiatr hulał po pokojach. Utopiono w błocie 800 tysięcy złotych z państwowych pieniędzy (na owe czasy nie mało), a ogromny wysiłek ludzki wystawiono na pośmiewisko.

Tak wykańczano się w tym okresie „drobną”, wiejską kulturę. Czekłem w głowie stał się teraz Urząd Gminy, a mimo to ośrodek kultury w Krzeszowie budowano dwadzieścia lat. Ludzie z Kosarzewa psoczyli sarkali i zanosiłi monity do władz, które trwały w milczeniu. Oto jeden z ubocznych skutków administracyjnych przesławań na mapie kraju. Decentralizacja tworząca nowy rodzaj scentralizowania. Choć nie obyło się bez winy samych kosarzewian.

Przebudzenie nastąpiło dwa lata temu, głównie za sprawą Janusza Kistera, działacza społecznego, człowieka pełnego energii i pomysłów. „Zawsze potrzebny jest ktoś, kto wyzwoli inicjatywę” — to stwierdzenie będzie się powtarzało ustawicznie w moich rozmowach z ludźmi. „Bolało mnie serce, niekroć przechodziłem obok tej ruiny ludzkiego zapalu” — powie Kister. Obudziło się i kółko ZSMP. Na 20-lecie „działalności” ośrodka postanowiono ratować ginący obiekt, a wojewoda, pisząc wówczas list pochwalny według sztampy: „doceniając pracę Domu Kultury, życząc wszystkim Jego działaczom i Kierownictwu dalszych sukcesów...”,

jeszcze nie wiedział, że do sukcesu było bardzo daleko.

Ewa Dziedzic tak pisała o tym w „Sztandarze Ludu”:

„Od paru lat kultura w Kosarzewie wyniosła się nie wiadomo gdzie, a DOM stoi w okropnym opuszczeniu. Zimno i brudno. Piece c.o. dawno wyśiadły, ściany straszają liszajami plam. [...] Jakże nie wierzyć, że diabeł hulał tu sobie w najlepsze. Zresztą najpewniej wystraszony z naprzeciwnika pięknym, dźwigającym w niebo strzeliste wieże kościołem, którego świeżej barwy cegiel nie spałytnował jeszcze czas. W małym pokójku organizacji na wysięczonej płótnem ścianie wiszą emblematy ZSMP, harcerzy i KGW. Pozostałe ściany wyglądają zmiotawiana boskiego. Wzdłuż sufitu biegnie rozkuta rozpadzina, w której ułożono nowe przewody do ogrzewania akumulacyjnego”. Artykuł nosił tytuł „Antyjubileusz z pozytywnym wydziewkiem”.

Trudno dziś wyobrazić sobie tamte czasy. Wszędzie nieskazitelna czystość i porządek. Na parterze klub „Ruchu” i sala wdowiskowa na ponad dwieście miejsc, z pełnowymiarową sceną. Ta sala zapelnia się przy okazji imprez nadspodziewanie gęsto, a na otwarciu zabrakło miejsca dla wszystkich chętnych. Czyn społeczny, będący u nas niejednokrotnie próbą nadrobienia niedołności z programowego czasu pracy, tutaj zaowocował czynną naprawdę potrzebą. Niektórzy mówią, że to burzliwy okres początku lat osiemdziesiątych tak ludzi zaktywizował. Kosarzew ma jednak tradycję w tym względzie daleko starsze. Zawsze miał szczęście do społeczników. Choćby taki przedwojenny kierownik szkoły Sadkowskiej (szkoła też powstała w czynie społecznym w 1937 roku), albo dziedzic, doktor Biełński, którego ziemi chłopci nie chcieli parcelować wcale nie ze strachu przed bandami, a tym bardziej „pokaramiem boskim”. Działalo wówczas w Kosarzewie kóło „Wici” i teatrzyk. Tutaj siedzi w ludziach coś wyjątkowego.

„Kister wszedłże też — mówi mi ludzie. — On ma swoje sukłady. Zeby nie on, nie by z tego nie było. Pieniądze na remont wydebił od Urzędu Wojewódzkiego, a potem organizował ludzi. Harcerzy, ZSMP, wszystkich. On nie ostrał usiędzie bezczynnie”. Ale, kiedy zabierano się do remontu, byli i tacy, którzy kręciłi głowami. Zwyczajnie, tak to ludzie. Kierownik WDK in spe rysował wtedy na małych kartkach papieru przyszłą wizję ośrodka i przekonywał. Ubywało opornych, mlekła chlonska orzekora.

„Bekantmachung — Ogłoszenie. Mimo kilkakrotnych upomnień w ostatnich dniach znowuż napadnięto tchórzliwie na Niemców i osoby...”

Dzisiaj nawet korytarz jest w ośrodku zagospodarowany. Na ścianach wiszą fotokopie unikalnych dokumentów z okresu okupacji. Odbijają się przy nich poglądowe lekcje historii dla młodzieży. A wieczorami nierzaz przychodzą starsi. Rozmawiają i wspominają. Gazetka „Robotnik” z 13 września 1939, okupacyjna kartka na żywność, pięć złotych z nadrukiem „Polska walcząca”. Z Kosarzewa też wędrowali ludzie na Majdanek.

Zanim zabrano się do remontu, trzeba było jeszcze wykwaterować z budynku sklep. Postanowiono więc zbudować nowy. Proste, prawda? Już od roku funkcjonuje nie opodal. To była inicjatywa kóło ZSMP. Sam obiekt ma oryginalną archi-

tekturę, obazernie zaplecze. Tutaj, kiedy ludzie coś robią, chcą, żeby to było inne — tylko ich własne.

Kiedy w grudniu 1983 roku zaproponowano Januszowi Kisterowi kierownictwo WDK, posłużył się zdewaluowanym, zdawałoby się, apelem: „Pomozecie? Obiecali. „Bez poparcia społeczności sam nie bym nie zrobił” — odwraca przewrotnie wspomniane poprzednio ludzkie gadanie.

Janusz Kister nie pochodzi z Kosarzewa. Przywędrował tu za żoną, siedemnaście lat temu, z Siedliszcza pod Chełmem. „Oprócz chęci do działalności społecznej potrzebny jest teraz czas” — usłyszałem niedawno w terenie. To fakt. Janusz Kister jest na powypadkowej rencie, ale aktywny społecznie nie zaczął być dopiero teraz. Nic nie bierze się nagle ani w człowieku, ani wokół niego. Jest kierownikiem ośrodka, sekretarzem POP, działaczem PRON, a zaczął od ZMW. Ośrodek to bez wątpienia jego drugi dom. Nikt nie kwestionuje, że najbardziej się zasłużył przy wznoszeniu tego „pałacu”. Wieści o urodzaju budynku rozeszły się daleko. Ale czy jego wnętrze naprawdę żyje? Po odpowiedź na to pytanie właśnie tu przyjeżdżam.

O lekcjach poglądowych już było. Są przy WDK dwa kółka zainteresowań: recytatorskie i plastyczne. Prowadzą je dwie młode nauczycielki, które za pracą i mieszkaniem przywędrowały tu z Lublina. Tacy właśnie ludzie stają się nowymi animatorami życia polskiej wsi lat osiemdziesiątych. Spotykałem ich i gdzie indziej. To jakby socjologiczny ekwiwalent ciągu młodzieży wiejskiej do miasta. Modesta Mazurek — opiekunka „plastyków”. Czy jest zadowolona, że tu trafiła? „Zadowolona? Jak na wieś, to trafiam bardzo dobrze. Właśnie dlatego, że jest tu ten dom kultury. Zawsze coś się dzieje. Gdyby nie to, musiałabym codziennie dojeżdżać z Lublina. Kółko — to spora satysfakcja. Ludzie na wsi, choć mają na ogół pieniądze, nie mają jeszcze nawyku kupowania dzieciom farb”. Na ścianie gablotka — „Młode talenty”. A Marta Młynarczyk przygotowuje swoich podopiecznych do olimpiady recytatorskiej i zapelnia imprezom w ośrodku oprawy artystyczne. Maluchy, które tutaj przychodzi, czytają dużo. Tak realizuje się inspiracja ze strony szkoły i domu kultury. „A o Grecji, o Grecji, ktoż tutaj pamięta?” — Wypieki na twarzy.

Biblioteka ZSMP jest za to zamknięta aż do odwołania. Kierownik Kister twierdzi, że nie ma na to wpływu i że go to boli. No, właśnie, zwłaszcza teraz kiedy jeszcze wieczory są długie, a prace w polu nie tak intensywne. Jedna szansa stracona.

Jest przy WDK Kóło Gospodyń Wiejskich z własnym chórem i kółko fotograficzne. Duszę tego pierwszego stanowi pani Genowefa Zuchorowska:

— Czasami dopadnie mnie coś przy pracy w polu, ale najczęściej, jak już się położę, przed zaśnięciem. To sobie ułożę taką piosenkę i ją zapamiętam. A jeśli zapomnę, ułożę ją znowu rano albo zapiszę w zeszycie. A potem śpiewamy ją wszystkie.

Pani Genowefa nie układa tak naprawdę poezji. Tworzy tylko słowa do wspólnego śpiewania. Pełno w nich satyry i lokalnych aktualności. W ubiegłym roku chór zajął trzecie miejsce na wojewódzkim przeglądzie. Tylko przegrywać nie ma im kto. Rozśpiewana wieś Kosarzew nie ma żadnego muzyka.

Kosarzew to nie „Gardzieniec”. Jeszcze drogi nie prowadzą stąd do Nowego Jorku. To taka kultura na miarę potrzeb; kultura, jaka bywała niegdyś, a której coraz już mniej. Od chwili powstania WDK nie było stąd żadnego wniosku na kolegium a bójki na zabawach wspominają się jako cień zamierzchłej przeszłości. Chociaż...

# Numer 8 szuka męża

**W** GODZINĘ po planowanym rozpoczęciu balu siedzą przy stolach pojedyncze numerki. Tym razem nie trzeba łamać sobie języka. Ta pani nie jest dwa tysiące sto pięćdziesiąta, tylko dwudziesta. Co więcej, cyferki wypisane na czerwonym serduszku to nie to samo, co numer w ewidencji biura matrymonialnego „Olimpia”. Na chwilę przestajemy być osobami anonimowymi.

Ja mam numer 8. Przypięte serduszko skrzętnie chowam pod klapę zakładki. Nie ewidencjonowana, ale o tym wiem tylko ja i właścicielka biura. Kiedy wprowadza mnie na salę, czuję się niepewnie. Po prawej stronie mam pana Ryszarda, po lewej pustkę. Naprzeciw siedzi jakaś para, on cały w pasach, ona nienaturalnie podniecona, trochę dalej dwie samotne dziewczyny. Usiłuję rozładować atmosferę. Wygląda na to, że bez seteczki się nie obejdzie. Kiedy uświadamiam to panu Rysowi i on już sięga po upragnioną butelkę, jak spod ziemi wyraasta pani z komitetu: „Proszę poczekać,

jeszcze chwilkę, proszę państwa, aż się wszyscy zejdą”. Uplynęło już prawie półtorej godziny od planowanego rozpoczęcia spotkania. Sądząc po nakrytych stołach, na sali jest mniej więcej połowa osób. Ja ich rozumiem. Sama przyszłam nieco później, by zniknąć w tłumie. O losie!

Komitet organizacyjny biura jest tu sprawą niezmiernie ważną. Bowiem, gdyby nie on, nie byłoby dzisiejszej zabawy. Kilku członków biura skrzyknęło się, zebrało pieniądze, czym opłacono w restauracji jedzenie i napoje. Muzyka była własna. Z magnetofonu. Okazja, by spotkać się razem w karnawale. Bo biuro dysponuje jedynie dwoma członkami pomieszczenia. Czasem tylko wystarcza. Przyszli kiedyś pan, usiadł w jednym fotelu, nieco później pani w drugim. Wypełniają zgłoszenia: kawaler, panna obydwoje z wyższym wykształceniem, ba, nawet z podobnymi zawodami. Zanim wyszli, dogadali się jak-koś. A za dwa miesiące przysiali zaproszenie na ślub.

Trochę nudno i głupio. Rozglądam się po sali. Nagle para siedząca naprzeciw mnie podrywa się do tańca. Pani całuje pana w usta. Pan nieśmiało oddaje. Rumieńce na twarzach. Zerkają, czy inni aprobują. Czy to wypada w tym wieku? Uśmiecham się. Wnoszą śledzie. Pan Rysio taszczy je-

szcze jedną butelkę. Nie jest źle — myślę. Głód mi doskwiera, bo celowo nie jadłam obiadu. Więc nakładam sobie i panu Rysowi, gdy nagle... staje przede mną średniego wieku młodzieniec i prosi do tańca. Nie wypada odmówić. Jestem indagowana w taki walezyka:

— Ma pani dzieciątko?  
— Owszem, mam.  
— A ile lat liczy?  
— Kto, dzieciątko? — jestem przyzwyczajona, że to ja zadaję pytania. — Dwanaście — odpowiadam z wielką skrupulatnością.  
— A jaka pieć? — Trochę już dośzłam do równowagi. Domyślam się, iż chodzi o pieć mego dziecka.  
— Dziewczynka.  
— A, to świetnie. Uwielbiam szczególnie dziewczynki. Myśmy z żoną dzieci nie mieli. A może wybierzemy się jutro z dzieciątkiem do kina?  
Przy tangu dowładuje się, że świetnie do siebie pasujemy.  
— Stanisław jestem. — No i jakie to proste. Już jesteśmy na ty.  
— A wiesz — mówię w przerwie między tangiem a polką — cały czas myślę o tych śledziach na talerzu.

Zostaje odprowadzona do stołu.  
— Dzień dobry — krzyczy z daleka jakiś pan.  
— O, ma pani tutaj znajomych — zauważa z aprobatą mój sąsiad.

Znajomego widziałam raz tylko. Przyszł do biura w godzinach przyjęć, to znaczy między 13 a 17. Jak na pierwszą wizytę nie bardzo był nawet zażenowany.

— Wie, pani — powiedział do panu Teodory, kierowniczki biura — szukam żony, a właściwie, można powiedzieć, opiekunki. Bo ja mam już prawie osiemdziesiątkę. Ale jestem z długowiecznej rodziny. Żonę pochwalałem trzy lata temu. Teraz siedzę sam, w trypokojowym mieszkaniu. Rentę mam niezłą. Pracowałem na kolei. No i tak myślę, że może by pani coś dla mnie miała.

Dostaje zdjęcie sześćdziesięcioletniej nauczycielki z Lubartowa, która zajmuje dwupokojowe mieszkanie z matką starszą.

— No, no, nawet niczego sobie. Tylko ta matka. Nie będzie się mogła mną zająć.

— Mam też samotną kandydatkę, podobny zawód, o dwa lata starszą z Lublina. Mieszka sama.

— A mieszkanie duże?  
— Dwa pokoje.

— Oj, niedobrze — kręci głową. — Zadne z nas na starość z mieszkaniami nie zrezygnuje i nie będzie ochlotało się przenieść. To duży problem.

— Pani — odezwalam się wreszcie, nieco poirytowana — co by pan chciał, żeby w ogóle nie miała gdzie mieszkać? Jakiegoś nieudacznika by pan chciał? Niechże się pan z nią spotka, a o to, co zrobić z dwoma mieszkaniami, martwił się pan będzie później.

— To trudne środowisko — mówi dyrektor szkoły podstawowej Mirosław Machnik. — Widzę to po swoich podopiecznych. Dużo tutaj rozbitych rodzin, a ludzie nie stronią od kieliszka. A jednak są ofiarni, gdy chodzi o wspólne dobro. Na remont szkoły więc wyasygnowała milion złotych i zadeklarowała drugi. To, co dzieje się teraz, to nie zepchnięcie Krzczonowa w dół, to dźwignięcie się nasze do góry. WDK integruje ludzi. Tylko wciąż za mało w nim sprzętu. Jest aparatura dyskotekowa, dwa magnetofony, trochę materiałów plastycznych. A przydałby się choćby kolorowy telewizor.

„Dużo tu rozbitych rodzin”. A wydawałoby się, że opieka duszpasterska rozmaitego rodzaju skutecznie ochroni ludzi przed moralnym złem. Dwa kościoły pilnują wszak dwóch krańców wsi, a i

ich wsi. Może to wówczas „władze pouciekały z trybuny”.

Jest w koszarzewianach to wszystko, co jest w mieszkańcach każdej polskiej wsi. Jakże by inaczej. Jest jednak i coś więcej. Czy to rozstrojenie światopoglądowej jaźni tak właśnie funkcjonuje?

— Ludzie są tu podzieleni pod względem wyznania i bajka byłoby twierdzenie, że nie rodzi to rądzin — usłyszałem. — Gdy zakochują się młodzi z odmiennych kościołów, targi o wybór miejsca na ślubną ceremonię ciągną się tygodniami. Ludzie są tu także zawistni i zazdrośni. A jednak czy nie to właśnie stanowi podrodną przyczynę ich aktywności? Wojen religijnych w nas nie ma, bo kompromis musi zawsze nastąpić, choćby przy tych weselach. Odrębność wywala jednak przy okazji potrzebę rywalizacji, chęć pokazania się. Tak uczymy się tolerancji, której podstawą jest działanie.

sobie opłaty za usługi w kościele rzymskokatolickim, nie zawrze w pełni wyczułone oko na niesprawiedliwość społeczną skłaniają ludzi do szukania kontaktów z bardziej ewangelicznym sposobem bycia duchownych. Znajdowali go w naszym kościele. Liturgia w języku polskim, zrozumiała dla wszystkich — to także był element przyciągający. Obecnie dwie nasze społeczności egzystują obok siebie bez większych zadrażeń. Myślę, że to bardzo dobrze. Zawrze bowiem trzeba w dziedzinie nadzórne dobro danego środowiska. Obecność księdza to zaledwie wycinek w życiu danej społeczności, konflikty zaś, które mogłyby wznieść, ciągnęłyby się latami. Dlatego wyznajemy zasadę zdrowej koegzystencji. Myślę, że kształtuje to także styl życia i życia mieszkańców. A wszystko zależy przecież od kultury osobistej każdego człowieka.

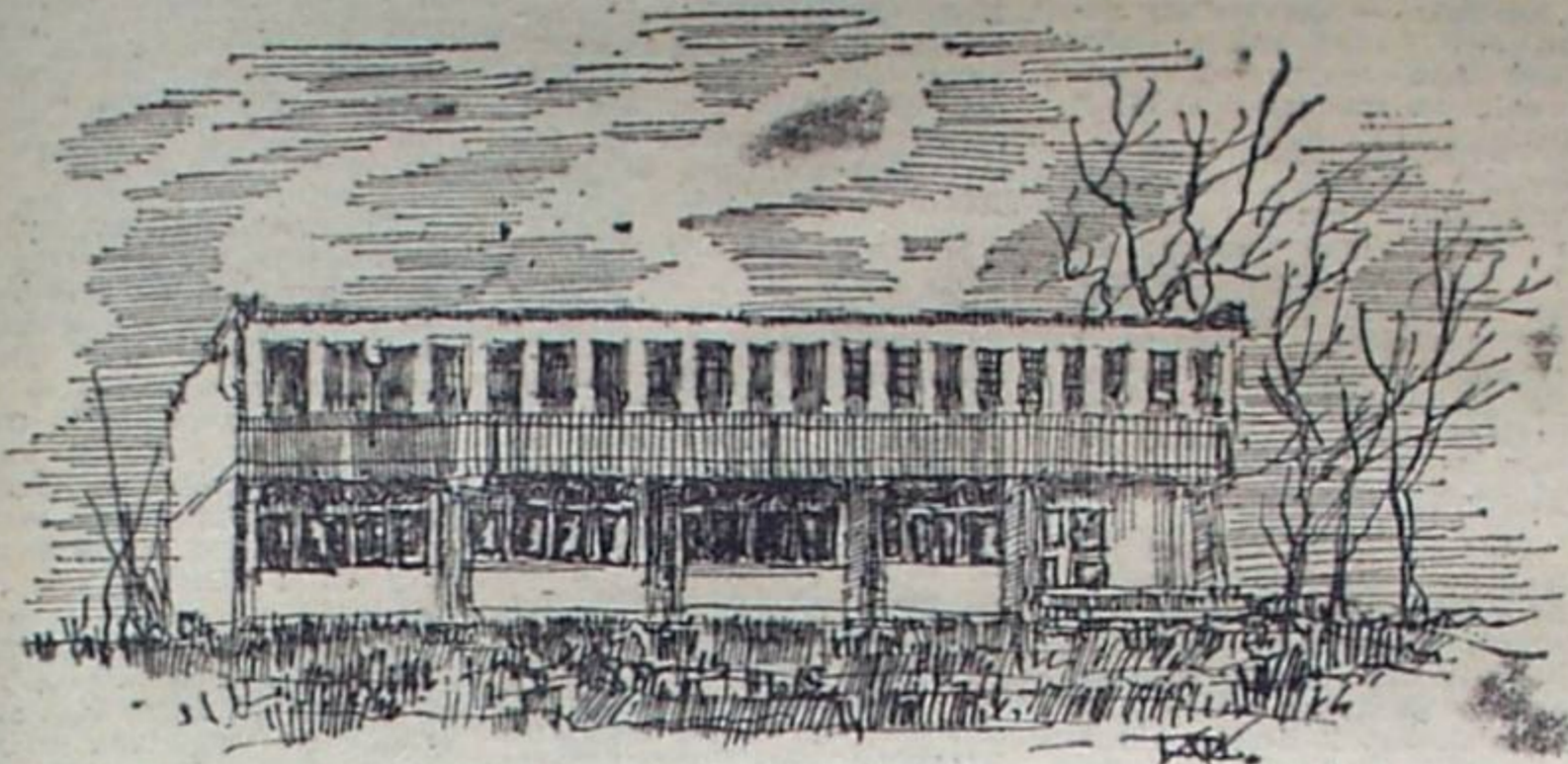
Może ze względu na to rozwichrzanie Jarosław Kister, obejmując placówkę, zaczął od powołania Rady Patronackiej. „Chodzę realnie po ziemi — mówi. — Zanim wystąpię z jakąś inicjatywą, najpierw funduję ją wśród mieszkańców. Chce, by kultura nie była u nas narzucana; by wyrastała z potrzeb i autentycznych zainteresowań ludzi. Dlatego wszystkie organizowane dotąd imprezy, cieszyły się tak dużą frekwencją. A aspiracje będą rosły stopniowo, wraz z coraz większym wyrobieniem i wzmagającą się ambicją. O tym wiem dobrze”.

Koszarzew nie ma wodociągów, ale Dom Kultury ma kanalizację; Koszarzew nie ma ośrodka zdrowia ani porodówki, ale ma Dom Kultury. Czy potrzebne? Żaden z moich rozmówców nigdy nie poddał w wątpliwość jego istnienia. Inne rzeczy będą także. Już istnieją plany zagospodarowania niszczącej od lat beznadziejnej chlewni, a dawną „agronomówkę” przerobili koszarzewianie na Dom Nauczyciela. „Nie wszyscy są u nas aktywni — mówi sołtys Stanisław Jamróz — ale na 60-70 procent mieszkańców można zawsze liczyć. Czy to mało?”.

Jest więc Koszarzew wsią o rozwichrzanej duszy, a jednak i o większym niż gdzie indziej racjonalizmie w myśleniu. Czy istnieje w tym bezpośrednie związku? By dotrzeć do takiej prawdy, trzeba by zapewne lat. Wiadomo wszakże, że kiedy ludzie tu coś robią, chcą, żeby to było inne — tylko ich własne. Mają Wiejski Dom Kultury na miarę potrzeb, a nawet i wyżej, ale koszarzewianie zawsze mierzyli wysoko. Koszarzew to jeszcze nie „Gardzienice”. Jeszcze drogi nie wiedzą stąd do Nowego Jorku, ale Koszarzew to bez wątpienia wies nad przelotnością. Zawsze miała szczęście do społeczników, a tolerancji uczy się w praktyce. Ze sztywnymi i zatwardziałymi, choć z uporem i konsekwencją realizując swój specyficzny życiowy kompromis. Innej drogi wsi nie ma.

„Kiedy tak chodzę po domach i słucham ludzi, ogarnia mnie nieodparte wrażenie, że trałem nagle w zakątek najprawdziwszego narodowego porozumienia. Wziętego nie z deklaracji, ale prosto z życia. I właśnie wtedy WDK urasta niemal do rangi swoistego symbolu”. Pokazuje, jak wiele da się zrobić wspólnie i jak wiele się trzeba uczyć, by żyć obok siebie.

Wiesław Horabik



Wiejski Dom Kultury w Koszarzewie.

Rys. Józef Tarłowski

środek nie pozostaje bez wyznaniowej opieki. Takie proste związki nie istnieją jednak w życiu. „Ludzie nie stronią tu od kieliszka”.

W klubie „Ruchu” salka dla palących wypełniona starszą młodzieżą. Do WDK nawet wiekowi gospodarze nie przychodzą w roboczych ubraniach. Byłoby jakoś nieskładnie wobec tych boazerii. Chłopcy grają w warcaby (dziewcząt brak, zjawiają się ponoć tylko w weekendowe dni), popijają herbatę, słuchają muzyki. To za mało. O wiele za mało. Dziś pudełkiem z szachami nie załatwi się wiejskiej kultury. Potrzebne są gry zręcznościowe, może bilard, stół do ping-ponga, na pewno magnetowid. Klub sam z siebie nie znajdzie na to funduszy. „Do Urzędu Wojewódzkiego nie pójde już nawet po złotówkę” — mówi Janusz Kister. Tymczasem gmina z Krzczonowa patrzy trochę z ukosa na podopiecznego, który wyrósł ponad przeciętność. Czy stać ją będzie na jakikolwiek gest wsparcia? Nie wiem, Koszarzewskie gospodynie śpiewały coś o potrzebie przeniesienia gminy do

Tolerancja, to mętne słowo znajduje jednak w Koszarzewie swe autentyczne spełnienie. Działają tu cztery podstawowe organizacje partyjne, ZSL, ZSMP, Koło Gospodyń Wiejskich, PRON, Ochotnicza Straż Pożarna. (To w nowej remizie odbywają się dyskoteki). Kiedy tak chodzę po domach i słucham ludzkiego gadania, ogarnia mnie nieodparte wrażenie, że zawędrowałem nagle w najprawdziwszy zakątek narodowego porozumienia. Wzięty nie z deklaracji, ale prosto z życia. Ten stojący pośrodku Wiejski Dom Kultury, do którego prowadzą drogi wszystkich bez wyjątku mieszkańców, urasta niemal do rangi swoistego symbolu.

Proboszcz parafii rzymskokatolickiej odmówił mi rozmowy, powołując się na zakaz swoich przełożonych, ksiądz magister Jerzy Bajorek z kościoła polskokatolickiego zgodził się od razu.

— Skąd takie rozwichrzanie duszy koszarzewian? — pytam.

— To międzywojenna specyfika Lubelszczyzny: głębokie przeludnienie, nędza i bieda ludzka. Wy-

## Jak budowano Dom Żołnierza Polskiego

Dokończenie ze str. 8

A ofiary osób wojskowych? Gen. dyw. St. Haller — 100 zł, gen. dyw. J. Romer — wiele więcej, bo i cegiełka 109 zł, i składka miesięczna 150 zł i inne, gen. bryg. M. Kukiel — 20 zł. Podoficerowie i kaprale składali się od 3 do 30 paru złotych.

Fundusz budowy Domu Żołnierza składał się również z sum uzyskanych z imprez towarzyskich, różnych „czarnych kaw”, dancinów, loterii, puszek i składek.

„Sobór w oczach Lublina topniał, a uzyskana cegła w znacznej części kryła potrzeby nowego gmachu; jakiego dzieła dokonała sekcja eksploatacyjna, miarą tego daje porównanie z rozbiórka soboru na Placu Saskim w Warszawie. U nas za kilka tygodni znikną ostatnie ślady pomnika niewoli...” — to cieszyło, mniej natomiast fakt, że w kasie komitetu było tylko 9706,59 zł, a potrzeba rysowała się na 100 tys. zł.

Oczyszczono już Plac Litewski z gruzów, zwieziono z lasu w Dąbrowie drewno, zerwano umowę z niesolidną firmą „Jensz” i wobec braku funduszy na dalszą budowę uchwalono „na wniosek przewodniczącego przerwać na razie roboty. Allicji komitet, który w programie postawił sobie doprowadzić budowę aż do pokrycia dachem, zmuszony był chwycić się rozmaitych środków — pożyczki wekslowej i pożyczki u oficerów garnizonu lubelskiego. Podciągnięto mury Domu Żołnierza od fundamentów po strop I-szego piętra. Problem był

z dachem — drewniany kosztował 3 tys. zł żelbetowy — 15 tys., oprócz tego trzeba było wykonać jeszcze okna i drzwi, urządzenie wewnętrzne, niwelację i urządzenie terenu na zewnątrz.

Komitet rozważał, czy nie przekazać obiektu już w takim stanie Ministerstwu Spraw Wojskowych, które może znaleźć prędzej środki, by dokończyć budowę? Z zastrzeżeniem jednak wyłącznego przeznaczenia Domu Żołnierza na cele kulturalno-oświatowe dla wojska. Ciągnięto dalej akcje zbiorów społecznych na rzecz budowy, trapiąc się o los społecznych pamiątek. Czy będą one w przyszłości odpowiednio respektowane jako dowód obywatelskiego czynu i ofiarności?

„Znając ogólną sytuację w Lublinie, stwierdzić można, że w obecnych warunkach społeczno-gospodarczych żaden inny komitet nie zważałby się podjąć i dokonać podobnej budowy z ofiar społecznych” — był to jeden z ostatnich zapisów komitetu budowy Domu Żołnierza Polskiego w Lublinie w drugim roku jego działalności. Na otwarcie obiektu czekać jeszcze trzeba było dwa lata z okładem.

Marta Denys

PS. Cytaty pochodzą z „Pamiętkowego wydawnictwa Ilustrowanego w II-gą rocznicę zawiązania komitetu budowy Domu Żołnierza, w opracowaniu kpt. W. Kwiatkowskiego”.

M

## KRONIKA KULTURALNA

● Lubelskie Studio Teatralne w dniach 17-24 marca zorganizowało występy holenderskiego Grifteatru. Zaprezentowano spektakl pt. „Nadir”.

● Na deskach „Chatki Zaka” wystąpił znanymi w Europie teatr „Akroma” ze spektaklem „La stanza” (Iaba) opartym na tekście R. Musilla.

● Wojewódzki przegląd twórczości artystów amatorów wyłonił zwycięzców. Pierwszą nagrodę przyznano Andrzejowi Gnaśowi (malarstwo), drugą ex aequo — Stanisławowi Dobrowolskiemu (rysunek), Tadeuszowi Sciborowi (akwarela) i Janowi Wiązowskiemu (rzeźba). Prace można było obejrzeć w chełmskim WDK.

● Zakończona została rewaloryzacja malowideł znajdujących się na sklepieniu nawy głównej w kaplicy św. Trójcy na Zamku Lubelskim. Przez cztery lata pracowali nad ich odnowieniem artyści plastycy: Maria i Anna Milewskie z Warszawy oraz Leonard Bartnik z Lublina.

● 24 marca br. w Biurze Wystaw Artystycznych w Lublinie otwarto wystawę Mariusza Gilla pt. „Instalacja”, natomiast w Galerii Sztuki Współczesnej w Zamościu warszawski twórca, Lech Okołów, wystawił obrazy kosmodromów, umaszynowanych ludzi, przemysłowych pejzaży na wół mechanicznych koni.

● Na uroczystościach Międzynarodowego Dnia Teatru 27 marca br. święcono jubileusz popularnego aktora lubelskich scen — Tytusa Wiślickiego: 50-lecie pracy autorskiej oraz 40-lecie działalności autorskiej i publiczystycznej. (Ogłoszony wywiad z jubilatami drukujemy w numerze).

● Towarzystwo Kultury Teatralnej (Zarząd Główny i Zarząd Oddziału Wojewódzkiego w Lublinie) w dniach 3-5 kwietnia br. zorganizowały w Puławach II konferencję Teatru Amatorskiego w 50-lecie utworzenia organizacji. Konferencji towarzyszyła wystawa „50-lecie Amatorskiego Ruchu Teatralnego na Lubelszczyźnie”.

(kop)

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), redaktor techniczny — Ewa Ovska korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie rzuca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu we wtorek w godz. 14-18.

Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im PKWN w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwa Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 300-30.

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 31.

Telefony sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 323-82, sekretarz redakcji 313-93, dział publicystyki i literacki 313-30.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-030 Lublin, skrytka pocztowa 331, pocztone i ekspresowa — pod adresem redakcji.



# Krzyż Południa

**W**LUTYM jakby wyraźniejszy. Obserwuję go przez lornetkę z balkonu, późnym wieczorem. Jest, jak zwykle o tej porze roku, ciepło, wieje wiatr albo od oceanu, albo od pustyni i kołyszą się eukaliptusy. Przypomina troszeczkę uszkodzony latawiec. Cztery gwiazdy, jasne, wyraźne, i jedna mniejsza, czerwona. Podobny odkryłem na nodze, ułożony z czterech punkcików, brodawek. Bardzo regularny. Przeznaczenie?

Oczywiście chodzi o Krzyż Południa, symbol antypodów. Na sztandarze Australii też jest; na niebieskim, jak ocean, tle. Bez Krzyża Południa byłoby tu o wiele smutniej. Pierwszy raz obejrzałem go w Melbourne. Wskazał mi go hotelowy kucharz, pan Janek, milioner. „Widzisz, jak świeci? — pokazywał grubym paluchem na niebie. — Trzydzieści lat jestem w Australii, to mój Krzyż Walecznych, innego nie dali...”

Pan Janek miał bujne życie, kucharzem został przez przypadek. „Ot, po prostu podałem urzędnikowi, że jestem kucharz i tak zostało. Kto by tam sprawdzał, co ty robił, człowieku, na tej pierwszej, północnej półkuli”. Początkowo to kucharzenie szło panu Jankowi ciężko, ale zawsze się mógł wytłumaczyć, że tam, gdzie głowa była do góry, a nie, jak tutaj, pod

spodem, było inaczej, ludziska inny smak w gąbce mieli, kangurzego mięsa nie zajadali. „Kangurzego mięsa? Coś pan, tym słą teraz skarmia tylko psy...”

Zanim zaświecił ten Krzyż Południa, była długa podróż jumbo dżetem australijskiej linii Quantas z Frankfurtu. W tym latającym brzuchaczku kupa narodu, pan Rysiu artysta plastyk z rozpuszczonym włosiem, w długim zielonym drellichu, jego żona z dziećmiem przy pierś. Wszystko ku nowej, drugiej ojczyźnie. Ponad pół roku załatwiania formalności. Nie było łatwo załapać się na Australię. Wiek po czterdziestce i zawody niedobre, artystyczne.

Pan Rysiu chyba powiedział, że on jest malarzem pokojowym bądź też sprayowym i wszystko było OK. Wiek miał dobry, niżej trzydziestki, a żona, druga, to prawie zupełny małolat. Pierwszą zostawił jeszcze przed „stanem” w starej ojczyźnie. Pan Rysiu dostał najwięcej punktów w konsulacie, ale miał przydział do Brisbane. „Stary, tam tropik, ludzie śpią pod moskitierami, a takie pajaki z długimi czułkami tylko skaczą na ciebie”. Latał, latał, aż wreszcie zamienił to Brisbane na Melbourne, stare miasto; dziewczyna ze złotym warkoczem zdobyła tam medal za kangurzy skok na olimpiadzie. Towarzystwo w odrzutowcu nie było jednak zbyt rozmowne, każdy na swój sposób przeżywał rozstanie nie tylko z krajem, ale i ze starą ciężką Europą.

Krótki pobyt w Rzymie. Z Bahreinu zapamiętałem su-

brealny obraz: pusto, szare plachy, na kolezastym ogrodzeniem miota się wychudzona koza. „A przecież to miliardery, nafta — ktoś powiedział. — Jak będzie w Australii, też pustynia?” W Bombaju jakby wesołej, jakby bardziej swojsko; lotnisko, jego urządzenia, nieco kojarzy się z warszawskim Okęciem. Za lotniskiem niesamowite slumsy z pofalowanej blachy i wielkich drewnianych pudeł. Wychodzimy na lotnisko korytarzem ze straganami, Hindusami i świecidełkami; niesamowita parowa i wilgoć, czerwiec. „Egzotyka — wszyscy się cieszą. — Lepiej niż z Orblsem. Kto mógłby sobie pozwolić na tak daleki Orbis...”

Zatraciłem już poczucie czasu; ciągle przesuwaj wskazówki zegara. Karmią nieźle, egzotyki lotnicze, ale już człowiek więcej nie może. Elegancki Singapur, to już niedaleko, a potem z ciemnością wylania się Australia. „Jaka spalona ziemia” — ktoś zauważa. „To cofnij się pan do tyłu”. „Jak zarobię dolary!”

Formalności na lotnisku, dostaliśmy specjalne znaczki. Dawniej przybywało się na statku. Teraz nikt się w to już nie bawi, czasu nie ma, zresztą na statku podobno jeszcze drożej. Z drżeniem serca czekamy na sponsora. Zebym tak się nie zjawił! Zaw sze lepiej nie być na czyjejś łasce. Jedynie my oczekujemy na prywatnego sponsora, „siostrę bratowej” (zapisali ją po prostu jako „siostra”). „Siostra” się nie pojawiła, zdenerwowany urzędnik, mówiący po polsku z silnym australijskim akcentem, telefonuje do niej. Telefon wylączony. Telefonuje więc do jej biura. Okazuje się, że... akurat wyjechała do Polski. „W tej sytuacji pojedziecie państwo, tak jak inni, do hostelu”. Odetchnąłem.

Pierwsze wrażenia? Rzeźkie powietrze, przecież to tutejsza zima, i gładzące głosy ptaków. Palmy, drewniane ploty i nielutkie demki, zwane przez nas grzybami. Parterowy świat, między nimi przeciągnięte przewody. Słupy z drewna. Wstawiono je dobre kilkadziesiąt lat temu. Drewno to jakby skamieniało, nie ma najmniejszego zamiaru gnić czy się rozpaść. Więc słupy zostały. Ploty jak z Tomka

Sawyeru. Niektóre jednak ciężko fikuśnie w ząbki (są specjalne maszyny do przycinania plotów). Robią je także z azbestu. Pyl azbestowy jest podobno trucizną — bombą zegarową, działającą z opóźnieniem.

Hostel, czyli kwatery i stółka oraz pomieszczenia rekreacyjne i do nauki języków, jest w robotniczej dzielnicy miasta, miasto w ogóle przeważnie fabryczne, mało urokliwe, ogólnie mówiąc. Za to przegromne, 200 kilometrów na 200 kilometrów, morze domków wśród zieleni i wiecznego kwitnienia. Victoria Garden State, czyli „ogrodowy stan”. Z daleka, jak patrzysz, przypomina ci to trochę Powązki. Samo City, owszem, kilkadziesiąt wieżowców, ale naszym przeznaczeniem był hostel. Najważniejsze, że przyjeśli.

Walka o Australię stała się moją małą pasją. Po prostu postanowiłem, że się uprę. Zaufany lekarz australijskiej ambasady we Frankfurcie odkrył mi jakieś dziury w płucach i podwyższone ciśnienie. Później musiałem długo walczyć i udowodniać, że te dziury to po prostu dawne złamanie — dwóch żeber na motocyklu (siedziałem z tyłu, nie przepadam za motoryzacją), zaś skoki ciśnienia powodował stres, że nie dostanę się na wyspę, no i przeżycia lat osiemdziesiątych (siedemdziesiąte dla mnie były w porządku).

Wielu ludzi, w porywie planujących emigrację, nie ma zielonego pojęcia o różnych haczykach, kruczkach i przeciwnościach losu; wydaje im się, że największym problemem jest pokonanie plotu z tej strony, a tamta druga to już różami bez kolców uślana.

W razie czego jeszcze była szansa na Stany, wołałem jednak Australię, zaś lodowatej Kanady, mimo że tak się pięknie wymawia: „Ka-na-da”, nie brałem pod uwagę. W końcu w każdym Europejczyku tkwi podświadome marzenie o Południowych Wyspach.

Marzenia marzeniami, a tymczasem siedliśmy wszyscy na ławeczkach „pod pajakami”. Była taka plansza, z

wyrysowanymi najgroźniejszymi pajakami Australii. „Ten czarny z czerwonym paskiem, Red Back, jak utnie, to jeszcze masz, bracie, szanse, ale jak cię dorwie taki wlochaty czarny, Funel black Spider, to umarł w butach”. I rzeczywiście, pierwsze od-ruchy: podejrziwe spoglądanie po nieotynkowanych od wewnątrz ceglach (taka moda), zagładanie do butów: „Czarny czy ten z czerwonym?”

Dużo czasu minęło, zanim człowiek machnął ręką na te pajaki. Czerwonego zresztą ubiliśmy, już wprowadziliśmy w Melbourne, ale w Perth, na Zachodzie Australii. („Jadą wozy na Zachód”, to i my pojechałyśmy do owej Kalifornii tego kraju). Był w lekko podrzęd-wiałym rowerku dziecięcym; w Red Backi uwielbiają rdzę.

„Pod pajakami” czekaliśmy na... elektryczne słoneczko. W Melbourne jest na ogół zimno i deszczowo, zaś w okra-sie prawdziwej zimy (czer-wiec, lipiec, sierpień) to już lepiej nie wspominać. Okazało się, że najlepiej kupić sobie „słoneczko” na bazarze ze starymi rupieciami; bardzo modne są takie bazyry w stolicy stanu Victoria.

Zacząłem tam też kupować pierwsze książki. „Ojciec chrzestny” i „Szczęki”, naturalnie po angielsku, to były te moje pierwsze hity. W kraju, myślę, że byłyby to pierwszej świeżości superbestsellery. A w niedzielę pan Janek powiódł nas swoją bryką do polskiego kościoła.

Zima, ale na ogół nie jest źle, słońce chodzi wprawdzie nisko, ale temperatury jak przy końcu polskiego października. W ciągu dnia słynne „mel-bourneńskie cztery pory roku”, czyli trochę słońca, trochę deszczu, trochę ciepła, trochę zimna. Niebo bardzo wysokie, błękitne; gdy napływają chmury i pod wieczór — niesamowite. Odczuwasz coś w rodzaju odwrócenia klaustrofobii. No i ten Krzyż Południa. „Przeglądaj się, on tutaj ci będzie zawsze towarzyszyl” — powtarzał pan Janek, kucharz z wyboru i powołania, choć w gruncie rzeczy z przypadku.

Adam Fiala

# Numer 8 szuka męża

Dokończenie ze str. 10

Staruszek wykazał wyraźne zainteresowanie:

— A mogę zadać pani jedno pytanie?

— Proszę.  
— Czy pani też wolna?  
— Tak, ale ja mam trzydzieści pięć.  
— Nie szkodzi.

Nachylił się nad panią Teodorą:  
— Wie pani — szepnął — tak sobie pomyślałem, że najlepsza to by była studentka, taka, żeby mieszkania nie miała.

Nowego znajomego zaprosiliśmy na bal.

Sledzie mają się ku końcowi. Wnoszą barszczyk. Atmosfera ulega rozluźnieniu. Ogłoszono białe tango. Panie proszą panów. Stanisław zza filara biega wzrokiem, bym poprosiła go do tańca. Udaje, że nie widzę, i podchodzę do jakiegoś krótkowidza, który z nosem przy obrusie coś skrzętnie notuje:

— Czy mogę pana prosić?  
— Niestety, nie tańczę, mam żalobę.  
— A czy mogę usiąść tu na chwilę? Chciałabym zapytać pana, co pan tak bez przerwy zapisuje?  
— A, takie pewne myśli — melancholijnie odpowiada „docent”.

Do biura nadszedł list: „Zdecydowałem się napisać do was mając nadzieję, że uda mi się z waszym pośrednictwem znaleźć bratnią duszę, tak jak ja samotnie dryfuję po nieprzychylnym oceanie rzeczywistości... Nadeszła chyba „nowa era lodowcowa” bo jak określić inaczej tak poworne odczłowieczenie świata. Wprzęgnię-

ci w różnorakie związki, systemy, układy — jak się w tym wszystkim odnaleźć, gdzie w tym wszystkim miejsce na serdeczność uczucie?”

Przy drugim daniu mój sąsiad wyrażnie się ożywia i rzuca komplementem:

— Nikt jeszcze mnie tak nie obsługiwał, nawet w najlepszej restauracji. Mówi to, gdy nakładam mu na talerz surówkę z rzepy. Wydaje mi się coraz miłszy:

— Panie Ryszardzie — przybieram uroczysty ton — jak długo należy pan do biura?

— Może ze trzy lata, ale sezonowo.

— Jak to sezonowo?

— Ano, w jesieni się zapisuję, a na wiosnę wypisuję. Bo w lecie jeździ się trochę po kraju. Po hotelach się człowiek włóczy, to i jakąś panienkę prędzej poznać można. A w zimie szara codzienność. Mieszkam pod Lublinem. Lubię wieść, ale jesteśmy tylko z matką, w olbrzymim domu. Może zatańczymy?

Pan Ryszard mimo swoich 100 kilo żywej wagi (jak sam zaznacza) prezentuje się zupełnie nieźle w dobrze skrojonym garniturze. A także ma gest. Jak za dotknięciem różdżki czarodziej-skiej na stole przede mną pojawiają się napoje w bardzo szerokim asortymencie. Tancerz z niego także nie-gorszy. Lecz, niestety, wodzirej wy-wiązuje się ze swego zadania, szuka mi pana do pary. Bo, jak się oka-zuje, moja ósemka na serduszku nie jest bez znaczenia. Mam partnera.

Głos mu, co prawda, drży, ręce się pocą i krokiem nierównym posuwa się po parkiecie, ale jest młody. O wiele za młody dla mnie.

— Tańczyć nie bardzo umiem.

— Niech się pan nie przejmuję — rzucam beztrudno. — Będziemy liczyć: raz, dwa, trzy, o, widzi pan, już lepiej idzie.

Cała sala tańczy. Stanisław, tym razem, z moją koleżanką, której proponuje pój-scie do teatru. Oczywiście z dzielątkiem. Zapomniał tylko zapytać o wiek Bagatel-ki. Dzieciatko ma dwadzieścia lat. W za-jomnego z biura wpatrzona jest jakaś kor-pulentna blondynka. Ciekawe, czy mieszka na stancji? Pan Ryszard uwoził przyjem-ną puławiankę. Myślę sobie, że byłaby w sam raz dla niego. Ale on coś tęsknym wzrokiem popatruje na mnie. Odwracam się. Ależ nie, nie wszyscy tańczą. Przy długim stole, nakrytym białym obrusem i nieopisanym balaganem, siedzi samotny „docent”. Odsunąwszy talerz, znów sma-ruje coś w notesie.

— Czy ci ludzie tak naprawdę szu-kają bliskiej osoby? — zapytałam panią Teodorę.

— Owszem, szukają. I czasem znaj-dują. Ale wielu długo się decyduje. I nie chodzi nawet o urodę, czy in-ne walory. Tylko niektórzy mają szczęście spotkać się od razu. Na przy-kład dostałam ostatnio zaproszenie na ślub wdowy z dwojgiem dzieci. Zyla w małutkim mieszkanku. Ale są tacy panowie, że przez kilka lat zdecydo-wać się nie mogą. Przebierają i prze-bierają. Faktem jest że brakuje tro-chę młodych dziewcząt, mężczyzn jest za to pod dostatkiem, w różnym wieku.

Przebiega się do mnie jakiś pan. U-szczęśliwiony.

— Jurek mam na imię! — krzyczy.

— Już dawno chciałem z paną za-tańczyć. Nowicjuszka? Nigdy nie wi-działem w biurze

Przechodzimy na dyskotekę.

— Widzę, że pani jest z koleżanką.

Mam propozycję. Tam w kącie sie-dzi mój kolega, ma mieszkanie w Lu-blinie, może pojechalibyśmy do niego, kawka, spokój, potańczylibyśmy przy lepszych nagraniach.

— A telewizor kolorowy ma? — py-tam.

Mojej koleżance nie podoba się ko-lega. A mnie ostatnia dyskusja przy-pomina o serialu w TV. Bal powinien mieć się ku końcowi, ale końca nie widać. Ulatniam się po angielsku, by obejrzeć „Dziedzictwo miłości”. Życie w kolorze.

Iwona Gradowska

**Rozwiązanie krzyżówki nr 5 szyfrogramu literackiego**

Najpierw plakat chodził gdzieś poza dom, raz ją nad rzeką spotkałem przy praniu szmat, raz w dzikim bzie, a potem schnął zaczęła, że wyszła na szczapę, na wiór, aż wyszła całkiem z tego świata.

Wiestaw Myśliwski  
„Nagi sad”  
Nagrodę otrzymuje Ryszarda Stefańska, ul. Dulęby 19 m 2, 20-328 Lubin.

**Ogłoszenie**

Biopowinowactwa, bioryt-my. Bielsko-Biała, skr. 168. Prześlij datę urodzenia swo-ją lub partnerów.

1809/K-3